

I/546

K E L A B J A

p. Jerzego MROZOWSKIEGO

nagrana 14.03.91 w Łodzi przez Tomasza Gleba

wersja zredagowana



Po Powstaniu Warszawskim 5 października kapitulowaliśmy. Dostałem się do niewoli, wysłano nas do obozu w Łambinowicach na Śląsku Opolskim. Kiedy nas wyzwolono, wróciłem do domu. Po powrocie zostałem aresztowany przez NKWD w połowie kwietnia 1945 roku w Warszawie. Osadzono mnie w piwnicach fabryki kosmetyków na Szwedzkiej pod dwudziestym numerem bójki. Siedziałem sam, to była klatka. Po lewej stronie dwóch księży, a po prawej były jakieś trzy kobiety. Siedziały i same wszy czy pchły, po prostu wszystko się ruszało. Rano - na śniadanie. Prowadzono pojedynczych więźniów do kuchni, stał tam kucharz rosypski i miał posłonek natany w duża miednica - ukrop. Dawali też porcję chleba, 100 gram. Oczywiście staniem i mówię:

- Proszę i wójkę.
- Chłupaj tak! pięć minut masz!

Nie dotkniesz przecież ustam do krawędzi tej miski, bo się poparzysz. Kończyło się, że wracałem z tym chlebem, oczywiście przez te wszystkie dni nie jadłem, bo chleb albo oddawałem księżom, albo kobietom.

Wożono mnie na czwarte piętro, przeważnie w nocy, tam się zaczynało śledztwo. Zarzuty takie, że chciałem przeprowadzać odwroty, sabotaż, i planowałem zabicie Stalina (dosłownie tak było w moim oskarżeniu, bo potem mi odczytali). Bili mnie nie

bito, ale usiłowano powiesić. Był w suficie hak po żyrandolu. Kiedy byłem w niewoli, przysłał nam Czerwony Krzyż kanadyjskie umundurowanie w paczkach. Miałem elegancki trenecz, brwczesy, koszulkę wełnianą śliczną, jeszcze szynel, ale go wcześniej straciłem. Śiedzczy kazał mi się rozebrać, postawił na biurku taboret i mówi:

- Właż, sukinsynu, nie chcesz mówić prawdy, to ja cię powieszę!

Rozebrałem się, wlałem, postawiłem na tym taborecie, a on mówi:

- Ja jeszcze się zastanowię, do wieczora.

Chciałem się ubrać w te moje rzeczy, a on kopnął je nogą.

- Takie baracho będziesz nosić? - ściągnął swoje sapogi, śmierdzące, rzucił mi, jakieś portki drelichowe, kazał mi się ubrać. Sprowadzono mnie na dół, a zwykle prowadził pijany wartownik, kołta do szyji przystawiał. Raz był taki wypadek, że prowadził mnie i spadł ze schodów. Dobrze, że na półpiętrach stali wartownicy i widzieli, że ja go nie zepchnąłem.

Po kilku dniach załadowano nas chyba ze dwudziestu na ciężarówkę, byli tam różni, wśród nich spotkałem też swoich kolegów z oddziału. Jechaliśmy bardzo długo, nie wiedzieliśmy gdzie. Minęliśmy Poznań, nocowaliśmy w byłej miejscowości niemieckiej, obecnie po stronie polskiej. Było tam jakieś więzienie, w tym więzieniu nas przenocowali, rano znów załadowali na auta i do Berlina.

W Berlinie znów śledztwo. Byłem w ogólnej celi, duża, miała może 30-40 metrów. Było to pomieszczenie w piwnicy, bo oni urzędowali w domach czynszowych. Wyprowadzili na śledztwo: duży pokój, w rogu biurko, siedział w okularach

śledczy. Siedziałem na taborecie godzinę, półtorej, w końcu zacząłem kiwać się i spać. Rzucił we mnie co miał pod ręką, po dwóch-trzech godzinach "Idies abarat". Tylko usnąłem - znów się otwierały drzwi i znów: "Na bukua M". I tak dwa-trzy razy w nocy.

W końcu jednego dnia wczesnie rano - nigdy to się nie zdarzało - otworzyły się drzwi "Wychodzie". Wyprowadzili nas na podwórkę, patrzył, że z innych cel też wyprowadzili może około dwustu osób. Stały trzy czy cztery auta ciężarowe, oni nazywali je czornyj voron. Załadowali nas po 40-50. A ze mną siedział tam jeden Rosjanin, były śledczy. Gość tam przeskrobał i dostał 6 albo 8 lat. Nie wiem, co on zrobił, czy broń sprzedał czy coś on mówił:

-Oj, Jureczka, procho...

-Dlaczego?

-Budut nas rozstrelat.

Człowiek był taki... w ogóle było już wszystko jedno. Wszyscy byli przeważnie załamani. Jechaliśmy 40-50 minut, otworzyły się drzwi "Wychodzie". Wyszliśmy, kazali zaraz usiąść. Patrzymy - polana leśna, gdzieś na skraju góry białego piasku.

- Nie myliłem się, kantej, Jureczka.

- No trudno - mówię, bo przecież nie będziemy uciekać.

Cały teren obstawiony i po prawej stronie stało 10-12 z bronią. Na środku stało trzech starszych Kadapów. Myśmy posiedzieli może pół godziny, po tym czasie usłyszeliśmy warkot motoru - to był dukt leśny:

-Aha - mówi ten Rosjanin - jada, teraz zobaczysz.

Jechali motorem z przyczepą, ten, który siedział w przyczepie wyskoczył, podał tym, co stali na środku polany

kopertę czy coś. Jeden rozpieczętował, tamci odjechali, a ten czytał, gadali, w końcu wezwał naczelnika konwoju, coś mu powiedział, porozmawiali dłuższy czas. Myśmy już w napięciu byli takim, że szkoda mówić...A ten podchodzi do nas:

- *Idi, sadities w maszini.*

Przywleźli nas z powrotem, człowiek i cieszył się, i właściwie nie wiadomo co...W grupie do rozstrzelania byli i Rosjanie, i Czesi, Niemcy, Rumuni, Bułgarzy, różne narodowości. Na przykład był tam Polak, Ślązak, który był lotnikiem. On został wcielony do armii niemieckiej i w końcu zrobili z niego dywersanta - pięć czy sześć razy przerzucali go na tyły armii radzieckiej, on wykonywał zadanie i wracał. Za 6-7 razem zrapali go. On powiedział mi, a bardzo inteligentny: "Wiesz, mnie grozi czapa". Nie pamiętam nazwiska, nie wiem, co z nim zrobili, bo po 2-3 dniach od tego incydentu w łasku przyszli i z celi gazie byłem - nas tam było 2-3 z powstania - zabrali nas. Potem dokooptowali z innych cel i nas było w sumie 15, może 20. Wartownik powiedział nam:

- *Idcie, sad będzie.*

To był cały czas kwiecień, wszystko szybko się odbywało. Zaprowadzili nas na 3-4 piętro, tam był korytarz, pokoje, a przed drzwiami stali wartownicy.

- *O, macie szczastie- mówia - siegodnia wstam po czerwońcu daja.*

Czyli, że wszystkim dają po 10 lat. Ten śledczy, który siedział ze mną powiedział mi: "Słuchaj, oni mają plan i trzeba go "wygospodarować" w ciągu miesiąca, dwóch czy trzech. I dziś daje 10 lat, jutro 15, 20 i 25, a potem wracają.

Wprowadzili nas - zwykły pokój, stół zielonym suknem zastawny, posadzili nas na ławach, czekamy. Otworzyły się drzwi z prawej strony, weszło trzech, popatrzyłem się - Żydzi. Albo to byli Gruzini, albo Żydzi, ale wydaje mi się, że Żydzi, bo jeden w czasie odczytywania oskarżenia - była tłumaczka, ale ona tłumaczyła z rosyjskiego na rosyjski - powiedział parę słów po polsku. Dwóch kapitanów, jeden major, w mundurach. Oczywiście

-Czy przyznajecie się?

-Nie przyznajemy.

-Co chcecie powiedzieć w ostatnim słowie?

Co powiedzieć? Nikt nie wiedział, co powiedzieć, nikt nic nie powiedział.

-Sąd idzie na naradę.

Wyszli, za jakieś 15 minut weszli, odczytali od razu wszystkie nazwiska: "Taki, taki, taki... *to list isprawnielych datnyh stiewiernyh lagierej*".

Zaprowadzili nas do piwnicy, jedni się cieszyli, inni byli zmartwieni. W dwa czy trzy dni zarządowali nas na ciężarówce, na stację. Posadzili mnie w ciężarówce, tyłem bez czapki. Jakiś kaczap wieział do jakiegoś domu. "Bez czapki *niełzia*" i za chwilę niesie cylinder! Dał mi ten cylinder:

-Kładź, *job twoju mat!*

Jedziemy, a Niemcy stali, jak zwalnialiśmy, to słyszałem, jak ci Niemcy: "O, *englische Dyplomatische...*" Dojechaliśmy do stacji, zarządowali do towarowych wagonów chyba po 50 osób. Nam się na nieszczęście dostał główny herszt, okropny typ, miał chyba 270 lat, wyroku ospowaty, nogi pałakowate. Mówił, że on jest *matrak*, marynarz. W asyście miał jeszcze 3-4. To byli zwyrodnialcy - jechano w wagonie trochę młodych Niemców.

tych Niemców gwałcili pod pryzmami. wśród nich był jeden, który podawał się za Polaka z Tarnopola. On zaczął ze mną trochę rozmawiać. Mówił mi: "Nie bój się, tobie włos z głowy nie spadnie". A ja włosów już i tak nie miałem, ostrzyżony byłem. Telepaliliśmy się 3-4 dni, aż w końcu dojechaliśmy do Łodzi. A ponieważ ja jestem rodowitym Łodzianinem, a rozmawiałem trochę z tym Polakiem i on wiedział o tym. Woła mnie, właziem na górę - pół litra stoi, kiełbasa. Człowiek był głodny, jeść dawali co trzeci, co czwarty dzień.

-Słuchaj, będziemy jechać przez Łódź - mówi, oni wszystko wiedzieli, gdzie będziemy jechać! - Napisz karteczkę, żeby rodzice wyszli, przynieśli żarcia, wódki.

Mnie zależało na tym, żeby rodziców zawiadomić - napisałem kartkę, mam ją do dzisiaj. Wiedziałem, że zatrzymamy się na stacji Łódź-Widzew. Dojechaliśmy do Retkini, to są przedmieścia Łodzi, wyrzuciłem kartkę. Akurat ścieżka obok torów jechał listonosz! Wiedziałem - zszedł z roweru, podniósł tę kartkę, przeczytał, wsiadł na rower i pojechał. Okazało się, że pojechał prosto do domu. Rodzice mieszkali na ulicy Żeligowskiego, tam prowadził sklep spożywczy w czasie okupacji, bo normalnie to ojciec pracował, był mistrzem odlewniczym. Prosiłem w kartce o sok jagodowy, bo była dyzenteria, i żeby wódki trochę i jedzenie przede wszystkim, jakieś leki, aspiryne. Ale cały ten dom - to była duża kamienica czynszowa - wszyscy lokatorzy zważyli się i organizowali całą pomoc. I jak myśmy przyjechali, po trzech godzinach cała ta heca zważyła się. Obok, na sąsiednim torze stali Polacy, wojsko. I myśmy przez te okratowane okienka rozmawiali z nimi. A Rosjanie powiedzieli o nas, że "to faszyci". Rzeczywiście, Niemcy tam też z nami jechali...A

tamten wagon akurat obok staj, nogi mieli spuszczone, palili papierosy. My mówimy: -Panowie, dajcie nam pare papierosów...

-Uuu, a wy kto taki?

-Polaki - mówimy - Z powstania jesteśmy.

-Niemożliwe.

-Jak to niemożliwe...

-A ilu was jest?

-Ze trzystu, czterystu, bo ja wiem ilu...

To oni zaraz pzeskakiwali i do tego okienka podają. A kacapy przecież stoja, z automatami. Oni do tych Ruskich: "No spróbuj, to ja cie pierwszy rozpruje...Co, nie pozwolisz mi podać swojemu rodakowi?..." I dali nam, co mieli - papierosy... Ale jak zrobił sie szum, bo ci żołnierze zaczęli domagać się: "Jak to, wiozą Polaków?..." - prędko podczepili parowóz pod tamten skład i odciągnęli czy odjechali dalej.

W międzyczasie przyszli rodzice. Naczelnikiem tego transportu był Żyd rosyjski. Rodzice udali się do niego, bo powiedzieli im, że żeby dotrzeć do wartowników, to naczelnik musi...Naczelnik przyszedł: "Na 10 minut tylko otwieraj wagon...".Co mogli, to rodzice nam wszystko podali, porozmawialiśmy. Stan okropny - ledwo stałem, bo dezenteria, wycieńczeni do ostatnich granic. Po dziesięciu minutach zamknęli wagon - matka płakała, wszyscy tam płakali, sytuacja była przecież taka...No, ale myśmy byli trochę podreperowani. Ojciec chciał załatwić, żeby przekupić... Konwojenci mówia "Tak, tak", żeby dać dolary... Ale tam Żyd nie chciał się zgodzić.

Staliśmy gdzieś do godziny piątej czy szóstej, potem pojechaliśmy. Jechaliśmy w kierunku na Lublin, dojechaliśmy do Brzeźca. Nie wiedzieliśmy, gdzie jedziemy. I w nocy ,

wiem, że jechali my przez las, bo podszedłem do okienka, powietrze takie rześkie, patrzę, tylko drzewa. W pewnym momencie pociąg się zatrzymał i strzelanina. Słota z tych desek wagonowych! Myśmy leżeli, ci z góry też pouciekali, pokładli się. Nie wiedzieliśmy, co jest - jedni mówią, że na pewno partyzanci chcą nas odbić. Co tam było w rzeczywistości? W każdym razie w tym czasie z jednego wagonu prawie wszyscy uciekli, bo wyrwali deski w podłodze i zwiłali. Ale zaraz widocznie zorganizowali pościg, myśmy stali do rana i potem pociąg ruszył. Ale wartownicy powiedzieli, że prawie wszystkich wyłapali i rozstrzelali. Tak tych uciekinierów traktowali...

Myśmy poddali się, potelepali. Oczywiście - z Łodzi do Brześcia jechaliśmy 4 dni, NIC nam nie dali jeść, tylko wodę chyba raz na dwa dni.

Przyjechaliśmy do Brześcia, dzień był deszczowy, ponury. Tam było wybudowane więzienie, za czasów polskich, nowoczesne więzienie, okna weneckie, tylko kraty oczywiście. Ale było tak zapełnione, że nas do tego więzienia nie wzięli, tylko trzy czy cztery posesje dalej był ogrodzony plac, otworzyli bramę, a tam było po kostki. Wpędzili nas tam, przed bramą rewizja - wszystkie białe rzeczy, menażki i inne powyrzucali. Wprowadzili - *saditie*.

- No jak, w tym błocie?

- *Saditie*, sukinsyny.

Ja miałem plecak, dobry, z brezentu, i tam parę kaloszy, nie wiem nawet skąd, i jeszcze chusteczki, batystowe duże chustki, potem się przydały. Cztery doby tam siedzieliśmy w tym błocie i deszczu, ani wody, ani pić, ani jeść. A z więzienia co chwila było tylko słychać: "Chleee-ba...". Jak

jedna ceła zaczęła krzyczeć, tak wszystkie: "Chle-ba, chle-ba!". Co wszyscy ci ludzie przeżywali i ja sam, to lepiej o tym nie mówić. A ze mną jechał jeden profesor z Poznania, który wykładał na Uniwersytecie Poznańskim, rodzony Rosjanin. Kuźmin bodajże jego nazwisko było. Jechał też śledczy, Rosjanin, i jeszcze dwóch czy trzech kolegów moich z Powstania. Myśmwy taką grupkę zrobili i razem siedzieli. Plecak położyłem w brodzie, oni też na czym mogli usiedli, w kucki siedzieliśmy.

Na piątą dobę rozpogodziło się, słońce wyrzało. Rano otwierają się wrota na ten plac i ciągną beczkę jak do wozu, długa beczkę jak na wsi używają, druga, drewniana.

- O, sukinsyny, podchodźcie! *Sup* przywieźli...

No ale czym jeść? Ten profesor mówi do mnie: "Wiesz Jurek, weź kalosz i podejdź z tym kaloszem". Wziąłem ten kalosz. Tam każdy się łamał: w czapkę nie w czapkę. Stał kucharz, chciało mi się pięciolitrowa. Przy beczce był kurek, tam był koncentrat, grochowy, otworzył kurek, drugi trzymał chuchie - i dawał. A to było gorące choleroid, ukrop. Ja trzymam kalosz, a on specjalnie leje mi po rękach. Mówię "nie puszcza" i się patrzę jemu w oczy, a on: *uot sukinsyn*. Odszedłem, ale tam stał z boku jakiś porucznik czy kapitan - jak doskoczył, kopnął tego, co nalewał i wygonił go, kazał jakiemuś żołnierzowi, żeby nalewał.

Przyszedłem, mówię: "Bierz pan, panie profesorze, ten drugi kalosz. A wy czekajcie, mam chusteczki batystowe...". Wziąłem je, powiązałem - a to były takie, że tam wody można było naleć - i każdy poszedł. Ja chyba dwa albo trzy razy obróciłem z tym kaloszem. Naledzieliśmy sobie... Jak już wszystkie roziali, wody przywieźli, to jeszcze popiliamy. I tego dnia,

ponieważ odszedł etap z więzienia, poprowadzili nas do więzienia.

Cele były w zasadzie na cztery osoby, a nas tam 50 pakowali i koniec - staliśmy, siedzieliśmy jak tylko mogliśmy. No ale wyprowadzano nas raz dziennie na *pragubę* na teren więzienia. Dokładnie nie pamiętam, czy byliśmy tam 3 dni czy 4 czy tygodni. Chyba po tygodniu - na stację, do wagonów towarowych załadowali nas. Telepowaliśmy się, mineliśmy Jarostaw. Dowiedzieli się, że jedziemy do Archangielska.

Obraz nędzy i rozpacz po drodze. Ludzie mieszkali w ziemiankach niedaleko przy torach, wyłazili brudni. Drogi były ułożone z bierwion, tak jak u nas przed wojną na polach też podobno takie były. Całe kilometry takich dróg ciągnęły się.

Przyjechaliśmy do Archangielska, wyładowali nas, zaciągali na statek do ładowni. Tam oczywiście znowu ta Julia zaczęła buszować, zdzierała ze wszystkich co się dało. Ja zostałem już tylko w koszuwie gimnastycznej i w spodniach drewnianych bez butów.

No i morze, jakie tam jest? - Morze Białe, potem Morze Karskie, Wrota Karskie, Jenisiej, do Dudzinki, tam jest port na Jenisiej. Tam nas przywieźli. Statek był produkcji, bo wyczytałem na tabliczce, angielskiej. Nie pamiętam nazwy.

Wyładowali nas, parę tysięcy nas przywieźli, może 7, może 10 tysięcy - do obozu. Było przejmujące zimno. Stały tylko beczki i *kipulok*, woda gotowana. I tak pierwszy ten dzień przetrzymałem, nie tylko ja, zmarznięty, skostniały. Baraki były długie chyba na sto metrów, przyce w środku czteropiętrowe, deski w środku nieszczerne, przeciągi. Ale wlażem do tego baraku pod wieczór, no co ja mam robić? Idę

sobie tym przejściem, może gdzieś się połozę na tych dachach. Ale patrzę - w tym przejściu siedzi pięciu czy sześciu mężczyzn, kołuchy wywiezione wrosem do góry, na środku skrzynka i słomna, chleb, *kipiatok* popijają... Chciałem przejść, po rosyjsku jeszcze nie umiałem, mówię "przepraszam". A jeden się zrywa: "Polak?", "Polak", "Siada! Skąd pan jest?". Opowiedziałem - stąd i stąd, z Warszawy, z powstania. Okazało się - to byli wszyscy skazani na katorgę, po 25 lat, z Lidy. Dali mi sweter grubo, szwedzko robiony z wełny, skarpety, rękawiczki, jakiś koszuł, jakiś trenecz, czapkę mi dali... Wzięli mnie w środek, przespałem z nimi noc, jedną, drugą, trzecią, i odziewem trochę! Bo przecież tam dawali chleb jak przywieźli to wyglądało po prostu jak rajno końskie. Brał to po prostu, w czapkę wsypał. Człowiek to zjadł, popił wodą i po pół litra zupy, to wszystko.

Tam przesiadziłem dwa tygodnie. Po 2 tygodniach załadowali nas do pociągu i przyjechaliśmy do Norwyska, to był sierpień 1943 - przyp. T.G.J. koniec sierpnia.

W Norwysku jest wyjątkowo wczesnie zima, jeszcze śniegu nie było, ale już mrozy były do dwudziestu poniżej zera. Tam lato się zaczynało chyba 1 lipca, do 1 września, dwa miesiące. I tam nie było przejścia: wiosna albo jesień, tylko od razu - lato i zima, i koniec. Jak się zaczynał lipiec, tundra zieloniała, kwiaty, różne owoce, grzyby, jagody... A wszystko białe - zajace białe, szczury białe, myszy białe, niedźwiedzie także się pokazywały, bardzo rzadko, ale od czasu do czasu na wierzchołkach gór było widać postacie niedźwiedzi.

Zaaplikowali nas do obozu siódmego - w tym czasie był to

zdaje się obóz siódmu, bo potem te numery pozmieniali.

Stak jakby z kamieni, których do podkładów kolejowych używają, od samego szczytu do samego dołu.

To był obóz koło Miedwieżki. Były tam namioty na dwieście osób. Już się zaczęły mrozy, takie po 25-30 stopni. No, karantenna, niby komisja, wszystkim oczywiście dali I kategorię. Tam kwalifikowali tak: jeżeli na poślachkach wychodziły skóra i kości, dostawał III kategorię. A ponieważ ja - był taki okres, już później, po 5-6 latach, że ja właściwie już chodzić nie mogłem, ale poślachki miałem okragtenditie, *haroszyj*... - żadnej III kategorii nie dostawałem, tylko pierwszą.

Dwa tygodnie nas przetrzymali, a potem - do roboty. Kilof, łopata i w wiecznej zmarzłocie trzeba było kopać. Norma była 0,4 kubametra sześciennego, trzeba to było wykopać. Wieczna zmarzłota jest gorsza jak skatakilof to była radziecka stal, jak pan dwa razy uderzył w zmarzłotę, to czubek był ciepły. Cała praca polegała na tym, że jak pan zobaczył, że czubek stopiony, musiał pan iść półtora kilometra do narzędziowni i tam panu wymieniał. I taki sznur ludzi z kilofami szedł, oddawał, dostawał inny i z powrotem - i tak 12 godzin, bo po 12 godzin pracowaliśmy. O wyrobieniu normy mowy nie ma. A ponieważ nie wyrobiłeś normy, dostajesz rano 300 gram chleba, pół litra zupy, a wieczorem pół litra zupy, łyżkę stoową kaszy i naparstek oleju, i to wszystko.

Dzień za dniem tak szedł, szedł... Zaczęli wtedy budować miasto. Jakie było miasto - to było kilka domów wybudowanych z prawdziwego zdarzenia, a reszta mieszkańców mieszkała w tzw. *bojkach*. To były budki sklejone ze skrzynek po konserwach. Jak pan popatrzył się - podłoga była od tych

budek 30-50 metrów, bioto niesamowite tam, dróg nie było, a w niedzielę też nas wyprowadzali do pracy - to wlaź taki Wańka na dach swojego *bojku* z harmonią i takie żałosne pieśni śpiewa... Człowiek popatrzył, czy się cisnęły do oczu. I tak to życie płynęło...

W każdej brygadzie było 2-3 szpicli, u mnie też. Raz przychodzi goniec z sekretariatu: "Mrozowski, *idi za mną*". Idę - siedzi kapitan i mapa wisi na ścianie.

- Ano, znajdź Warszawę.

Popatrzyłem, pokazujemy jest Polska, tu Warszawa.

- A twój *gorod* Łódź?

- A tutaj.

- *Sadis. Kurisz?*

- Jak mam, to palę - a paczkę machorki dawali raz na trzy miesiące.

Zaczyna ze mną rozmowę: że w brygadzie są tacy wywrotowcy...Mówię, że się do takiej roboty nie nadałem i dlatego, że odmówiłem, zarobiłem 10 *sutek*, czyli dół izolatora. To było w obozie siódmym.

Po jakimś czasie przerzucono mnie do kopalni miedzi. Marian (Dobrowolski - przyp.T.G.)też jakiś czas tam próbował się. Ja dość długo tam pracowałem, 7-8 lat. Praca polegała na tym, że trzeba było wiercić otwory, wysadzało się cała skałę.Te duże kawały jeszcze rozdrabniali, szło to do takich rozdrabniarek (z Ameryki przyszły), mieiono to na taką *make*.Im niżej schodziło to z tych bunkrów, tym drobniej było mielone.Potem było to mieszane chyba z wodą i podawane do huty w formie takiej papki.Mieszkałem cały czas w obozie siódmym.

W roku 1949 albo 1950, a może wcześniej oni zrobili oboz

specjalne. Dostałem numer M-883, na piersiach, na plecach, na czapce i na kolanie. I przestałem nazywać się Mrozowski!

M.D.: Litera A - pierwszy tysiąc, i tak dalej, żeby nie budzić dużymi cyframi jakiegoś zainteresowania.

J.M.: Przeniesiono nas do obozu w okolicy huty miedzi, tam była nowowbudowana huta miedzi. Tam nie były baraki, a były domki, jednopiętrowe, nawet z centralnym ogrzewaniem, z tym, że kraty w oknach, na noc nas zamykano, reżim był bardzo srogi. Do pracy nas wyprowadzano, robiono taki korytarz, i pracowaliśmy właśnie na budowie huty miedzi. Fundamenty się kopało, różne takie roboty. To był chyba obóz numer sześć, piąty był niżej, my byliśmy chyba szósty.

Oczywiście ja ważyłem już chyba 41-42 kilogramy, bo wyżywienie było takie samo, normy nie mogliśmy nigdy wyrobić. Czasami, CZASAMI udało się, że na brygadzie był *pajok* "plus jeden", a tak każdy dostał "gwarantowany pajek".

Zachorowałem. Ja tam nabawiłem się chciernych hemoroidów, byłem tam - później jeszcze - operowany, bo miałem już takie krwotoki... Ale w tym czasie jeszcze nie, i dostałem dezynterii, *ponos*, jak oni nazywają. Poszedłem do lekarza, mówię, że mam dezynterię. Dał santarusza, mówi: "Idź, zobacz". No, jak ten zobaczył - a ja z hemoroidami, więc krew - przyleciał, mówi: "Krwawy, krwawy *ponos*". Od razu mnie zostawili, wieczorem przyjechało pogotowie z centralnego szpitala, bo był w Norylsku centralny szpital dla aresztantów, koło polikliniki. To był chyba 1950 rok.

Przywieźli mnie do szpitala, to był murowany budynek, czystutko, ciepłutko, elegancko. Położyli mnie, przychodzi pielęgniarka, czyta: "Mrozowski..."

- A czy pan nie Polak?...

- Polak.

- Ja też jestem Polka, moje nazwisko Platerówna.

Ja nie dopytywałem się, bo byłem w takim stanie, że szkoda mówić.

- Jak długo będę mogła, to pana tu przetrzymam..

Początkowo nie mogłem jeść, ale potem to chleb mi donosiła, co mogła, to mi przynosiła. Zresztą nie tylko mnie pomagała, bo tam nie tylko ja byłem z Polaków.

Przeleżałem tam dwa tygodnie, ona mówi: "Już dłużej nie mogę...". A głównym lekarzem był Estończyk. "Ja poproszę, to pana przeniosą do rekonwalescentów, to tam cztery tygodnie pan sobie odleży". No i rzeczywiście - był tam barak, położyli mnie tam. Różni leżeli, chorzy różnej narodowości. Jednego dnia, chyba po dwóch tygodniach przychodzi ta właśnie pani pielęgniarka:

- Proszę pana, a może by pan chciał tutaj pracować?

- Proszę pani...

Przecież to było marzenie!..- ciepło, czysto i to jedzenie zupełnie inne...

- No to ja panu to załatwię...

Ten Estończyk lekarz przyszedł i zaczął mnie wypytywać, czy ja kiedyś pracowałem. "Tak" - mówię, że byłem kiedyś pielęgniarzem w czasie powstania. No, bo trzeba było być! - przecież człowiek był w partyzantce, cały czas miał do czynienia z tą krwią. Byli ranni... "Proszę napisać podanie". Ja mówię, że ja po rosyjsku nie umiem. Ale obok mnie leżał Polak katorżanin: "Ja panu napiszę". Nie pamiętam jego nazwiska, człowiek był jeszcze na razie jak ogłupiały.

Przyszła ta pielęgniarka, zabrała podanie i mówi: "Jeszcze dziś jeszcze będzie wiadomo. Idę do naczelnika." A

naczelnikiem była Rosjanka, bardzo taka... no, lekarka. Za jakieś dwie godziny przychodzi pielęgniarka:

- Proszę pana... Niech pan uklęknie i Bogu podziękuję...

- No a co tam?

- Proszę pana, szczęście wielkie, bo pan nie będzie pracował tutaj, w szpitalu dla aresztantów, ale jest szpital dla wolnych - będzie pan rozkonwojowany i tam będzie pan pracował.

- Siostrze, ja, taki łachmyta?...

- Niech się pan nie boi...

Dostałem nowe drelichy oczywiście i następnego dnia ja, Ukrainka Ściesza, dwóch Rosjan i jeden Łotysz zgłosiliśmy się na wachtę. Oczywiście przepuścił nas przez wachtę. Tylko zanotował nazwiska i szliśmy sobie przez ten *gorod* Norylsk, bo było może 500-600 metrów do tego szpitala.

Przyjęła nas starsza siostra, kazała nam poczekać. Olbrzymi pokój, a tam w siojach różne części ciała, wątroby. Jak to zobaczyłem, niedobrze mi się zrobiło, mówię: jakże będę w tym szpitalu pracował? Ale mówię: no trudno, jakoś trzeba... W końcu doszła kolejka do mnie, wzywa mnie:

- Polak?

- Polak.

- Aaaa, ja całą kampanię przeszedłem przez Polskę...

Pytała, ja kłamałem, że pracowałem, że tego, owego...

- Ja cię kieruję na oddział chirurgiczny. Będiesz na żeńskim oddziale, a Ściesza będzie na męskim.

- To jak to, dlaczego? - mówię - Niech siostra da mnie na męski...

- Nie, nie, nie...*Łutsze* ty z babami *budiesz*...

No i poszedłem na ten żeński oddział, a Ściesza na męski.

Nasza praca zaczęła się oczywiście od tego: starszym sanitariuszem był Estończyk, popatrzył się na mnie: "Oooo, co ty taki jesteś, sama skóra i kości!...Poczekaj, póki zaczniesz pracować, musisz się najpierw najieść!" Tam chleb białutki, takie były bochenki jak u nas razowy, a jak go zgiąć, to on z powrotem odskoczył jak wata. Przyniósł na *podnosie*, czy jak to się nazywa?... na tacy sześć talerzy: trzy talerze zupy i trzy talerze z drugim daniem, chleb i czajnik kakao i porcje masła. "Jedz, jak się najesz, dopiero..." Wrąbałem sporo, chyba trzy talerze tej zupy, dwa talerze drugiego i pół bochenka chleba, kakaem popiłem - czułem się jak bak! Pękne...

Ścieszka też zjadła (kobiety były bardziej zaokrąglone, jakoś nie było po nich widać), mówimy: "No to możemy zacząć". Kazali nam myć drzwi. Na żeńskim oddziale było chyba 10-12 sal. Doszedłem do jednej sali, otwieram drzwi, pokój ciemny i ktoś leży na łóżku. Okno było zasłonięte, tylko paliła się niebieska żarówka. Patrząc - młoda jakaś dziewczyna jęczy. Jak ja popatrzyłem na nią, ona taka żółto-blada, jeszcze w tym niebieskim świetle, niedobrze mi się zrobiło. Wyszedłem na korytarz, a tam akurat przechodził lekarz. A tam wszyscy lekarze byli też aresztantami. Łotysze, Ukraińcy, Estończycy, ale wszystko sławni, w większości profesorowie. Był okulista-Łotysz, to jego do Moskwy wozili samolotem, żeby robił operacje, i potem wracał. Mnie operował na te hemoroidy Ukraińiec, prawie na żywca robił, bo ja byłem w takim stanie, że nie mógł mi dać zastrzyku w kręgosłup, tylko miejscowe znieczulenie.

Pytam się - "to jest młoda dziewczyna, 18 lat, postrzelił ją z wieżyczki wartownik". Wolna była, ale, on mówi, "z nią

już koniec."

Fatalnie się czułem przez tydzień, potem przestałem jeść. Zapach...W sobotę był ostry dyżur i w większości przywozili pijanych z odmrożeniami. Szedł, upadł, ręce i nogi odmrożone. Przeleżał parę dni, to wszystko gniło, kości, śmierdzi. Amputowali obie dłonie i obie stopy, a on się śmiał! "Teraz ja będę żyć", tak mówili. A to wolni byli przecież!

M.D.- Jest w Łodzi jeden pan, który sobie uciął rękę. Edek - Pisarkiewicz? Ślusarkiewicz? Pisarski? Ale on się do tego nie przyznaje.

J.M.- Powoli, powoli w tym szpitalu zacząłem przychodzić do siebie. Posłali mnie na kurs felczerski, w prosektorium, Czech był wykładowcą. Ukończyłem ten kurs.

Przeszło rok przetrzymałem w tym szpitalu. Po roku, jak już byłem taki, że nie myłem już drzwi i okien, tylko byłem *miedwrać*, jak oni nazywali. już nawet zastrzyki domięśniowe robiłem, bo miałem jakieś zdolności. Byłem takim pomocnikiem lekarza. Miałem kołpaczek biały, fartuch biały elegancki. inaczej na mnie nie wołali jak *wrać! wrać!*. Babki jak wyzdrowiały to przychodziły, przynosiły to papierosy, co mogły przynosiły. A ja się opiekowałem jak nikt; bo były też wolne sanitariuszki, to gdzie tam! - ona podłogę umyła, a jak czasami ktoś prosił to sedes, to coś, to nie podała. Ja uwijałem się jak bąk.

Po 3 miesiącach ważyłem 75 kilo. Włosy mi odrosły, chłopak jak malowanie.

Po ukończeniu tego kursu przychodzi *nariadczyk*, że gdzieś tam wyczytali, że ja *elektrospawszczyk*, spawacz. Ja pracując w czasie okupacji u Lillpoppa ukończyłem kursy spawania i jak mnie badali na komisji. to powiedziałem o tym. A ja ze

spawaniem niewiele miałem do czynienia, bo byłem potem inspektorem w kontroli technicznej. Tam mnie skierowali, bo jak spawali podwozia, to ja miałem taki płyn, buteleczkę, pędzelek i łąziłem pod podwoziami i w miejscach najważniejszych płynem tylko smarowałem. Potem jak położyli szew spawacze, to po przejechaniu iluś tam - czterystu czy pięciuset kilometrów szwy pękały. Oczywiście te wagony wracały, a elektrody przychodziły z huty Baildon z Katowic - badali tam, podejrzewali, że to jest sabotaż, ale nie doszli. Poza tym dolewałem żrący płyn do oliwy do bażnic - stały beczki, a ponieważ ja miałem klucz do magazynku, w odpowiednim czasie wchodziłem, nikt nic nie widział, ćwiartkę do takiej beczki wlałem, potem brali w konewkę i do bażnic lali, osie przepalały się. Taka była moja robota u Lillpoppa, a poza tym inne jeszcze rzeczy były.

Tutaj sprowadzili mnie do CMK - cech metalo-konstrukcji. To był początek 1952 roku. Poszedłem do naczelnika tego zakładu. Duży cech, olbrzymia hala, ze 150 metrów, w środku po dwie suwnice i trzy przeloty na tym. Cały czas mieszkałem w obozie szóstym. Wzywa mnie ten naczelnik Jermitow, on był deputowanym *wierchownowo sowieta*. Siedział w gabinecie wybitym suknem:

- No, Mrozowski, *zdrawstwujtie* - papierosy oczywiście Biełomorkana podsuwa i mówi - *No słuszaj*, ja wiem, że ty pracowałeś w gniazdku jaskółczym, a tu można ogłupieć od tego hałasu... Ale wiesz? przyzwyczaj się, ja cię na razie do niczego nie zmuszam, chodź sobie po przelocie.

Byłem zaskoczony, bo takie cackanie się?...Zawsze było: rób i koniec. Wyszedłem jak ogłupiały, był tam jeszcze kierownik tego oddziału, majstrowie, wolni wszyscy. I łąziłem

ze trzy dni, ale w końcu mówię: "Przecież ja zgłupieję, jak będę tak chodził". Idę do tego naczelnika i mówię:

- Dajcie mi jakąś robotę.

- Hm... Dobrze.

Wziął rysunek techniczny, a oni tam mieli wszystkie projekty amerykańskie. Ponieważ ja chodziłem do gimnazjum imienia Reymonta i tam miałem zajęcia praktyczne, to u nas też były projekty amerykańskie. Nie byłem tak biegły jak technik, ale przecież...

- Powiedz mi, co to jest.

To była belka do spawania; mówię, co to jest.

- Ooo, dostaniesz brygadę!

I zrobił mnie brygadystą. Dał mi jeszcze pięciu chłopaków, to był benzoresszczyk /bo oni cięli benzyną/, dwóch spawaczy i dwóch montażystów. Dali mi miejsce na przelocie i zaczęli zwozić części, żeby konstrukcje stalowe robić. Trzeba było robić. Robiłem, robiłem elegancko, w końcu jednego dnia wracam do obozu - przychodzi ktoś, widzę, że fartuch spod kufajki wychodzi:

- Morozowski?

- Ja - mówię, a cała brygada już była.

- Zabierz wszystko, co masz. I nie pytaj się...

Prowadzi mnie - pogotowie staje. Do tego pogotowia wsiadłem i do szpitala centralnego, z powrotem. Naczelnica, Wiera Iwanowna mnie przywitała:

- Będziesz tu u nas pracować.

- No dobrze - mówię - ale nie będzie?...

- ...Ty się nic nie martw.

I zacząłem pracę. Długo tam nie pracowałem. Skierowała mnie do oddziału infekcyjnego, tam sami syfilitycy leżeli. I

była jedna sala, gdzie leżeli wewnątrzni i wolni tam też leżeli. I na moje nieszczęście położyli tam majstra z tego cechu, gdzie ja poprzednio pracowałem. Ja sukinsynowi dogadzałem, jak mogłem, a on jak wyszedł - powiedział Jermiłowowi, zaraz przyjechali po mnie i z powrotem zabrali.

Muszę dodać, że ja miałem paragraf 58-6, to szpiegostwo, i 58-9, to dywersja.

Za co tam karali... Ja będąc jeszcze na robotach ogólnych często pracowałem na noc, a w dzień odpoczywałem. I leżę sobie, a naprzeciwko mnie leżał kudłaty /on nie miał włosów, ale głowa jak bania/, wygląd głupowaty... A była w baraku wywieszona kartka, za co siedzisz, paragraf. W każdym baraku była taka wywieszka: nazwiska i za co siedzi. I ja patrzę - u niego *asza*, antysowiecka propaganda. Myślę sobie - jak on mógł...Mówię:

- *Wania, skazit'ie pażalsta, szto ty zdiełal?*

To trwało długi czas. W końcu on był jakiś taki nastrojony:

- *No haraszto, to ja tobie skazu...Ty znajesz, ja pierwyj raz jechałem pociągiem, jak mnie wieźli do obozu. Ja słabo czytam i słabo piszę (nie byłem zdziwiony tym, bo on gdzieś na Syberii w jakimś zakątku mieszkał). Ja pracowałem jako pastuch. Wiesz, praca taka sobie, dobra praca, bo lekka, ale często się denerwowałem. Miałem jedną krowę, która była tak narowista... Wszystkie krowki były posłuszne, a ta zawsze uciekała. Miałem dwa psy, ale i te psy ledwo jej tam dawały radę. I już ją zaganiałem w obejście gdzieś koło kołchozu i przechodziłem koło budynku *prietiedatiela* kołchozu. A *prietiedatiel* stał na ganku. Krowa zaczęła uciekać, a ja na nią: "Ach ty prostytutko!" Tę krowę dogoniłem, zagoniłem,*

skończyłem pracę, idę do domu - a *prietiedatiel* stoi i mnie woła.

- *A skazi. szto ty skazał?* A powiedziałeś "ty prostytutko"?

- Ano powiedziałem.

- A ty wiesz, że to jest krowa państwowa?

I dostał sześć czy siedem lat. On mi to opowiedział, ja tylko powtarzam.

To był 52 czy 53 rok, jak zaczęła się rewolucja? Po śmierci Stalina, to był 53 rok. "Duch", rozmowy zaczęły się już wtedy, kiedy podechł ten *mundryj, umnyji* tak dalej. na przykład mnie opowiadał Ukrainiec, starszy gość, który już tam siedział 18 lat, mówił: "Wiesz, co u nas robili? W szkole na przykład. jedna salka i druga salka. W jednej powiesili Jezusa, Matkę Boską, i posadzali dzieci za stołem, kazali się modlić, żeby jeść dostały. Dzieciaki jak dzieciaki. modliły się - oczywiście stół jak był pusty tak był. Kazali im przejść do drugiej sali, gdzie wisiał Stalin, kazali się modlić i zaczęli wnosić żarcie: jajecznicę, pierogi itd."

Wybuchła rewolucja, to znaczy strajk. Na robotę nie wychodzimy. To od razu wybuchło, bo były "kołchoźniki", to znaczy radia były zawieszane i to dudniło całą dobę. A to moskiewskie radio, a to wiadomości - to było, bo przecież nic takiego nie podawali, żeby coś tam... I przez te głośniki słyszać, że wszyscy mają wyjść z baraków na plac.

Nie wiem, czy to był kwiecień czy maj. To od razu wybuchło. Myśmy wyszli na plac, a naczelnikiem obozu był - tak mi się zdaje - major Czernik, Ukrainiec. To był człowiek jak człowiek. Obsługa, *nadiratiele* byli różni, a on rzeczywiście... Nas w tym obozie było około siedmiu tysięcy.

- Słuchajcie - mówi - gdyby to się zdarzyło trzy miesiące

wcześniej, to by was wszystkich rozstrzelali. Wy zachowajcie spokój.

To było zaraz pierwszego dnia, tego dnia, kiedy odmówili wyjścia do pracy.

A cały obóz był otoczony *krasnopagownikami*. Trzy pierścienie, karabiny maszynowe poustawiane, psy, na koniach... Widzieliśmy ich, przez druty było przecież widać. Trzy kordony wkoło obozu. U nas nie rozcinali drutów, ale w innych obozach tak, były ofiary, wypadki, zdaje się, że u katorżan.

Potem szły targi... Utworzył się komitet obozowy. W większości w jego skład wchodziłi Ukraińcy. I łaziliśmy sobie po terenie. U nas nie było żadnych ofiar ani nic, spokojnie wszystko. W skład komitetu weszli też Polacy, ale nazwisk nie pamiętam. Aktywnych Polaków było może trzech-czterech.

Domagali się, żeby ktoś przyjechał z *naczalstwa*, chcieli pertraktować. Chodziło o to, żeby zdjęli numery, żeby woino było pisać pocztę, żeby była wolna stołówka, żeby kraty z okien zdjęli, żeby nie było tej godziny policyjnej, żeby płacili za pracę, i wiele innych rzeczy.

Wszyscy bez wyjątku byli zdecydowani na wszystko. Jakoś do tego nie doszło, nie stwarzali z zewnątrz takiej sytuacji.

M.D.- *Pożarnicy* to byli szpicle i donosiciele. Niektórzy z tych pożarników byli skazywani przez sądy obozowe, nawet na karę śmierci, i byli powieszani. Tak było w obozie piętnastym i w obozie na Miedwieżce. J.M.- W moim obozie nie słyszałem o sądach.

Nie było dyżurów, rygoru. "Nie wolno wychodzić do pracy i musicie tego przestrzegać".

Był klub, gdzie wcześniej na siłę zaganiali pałami, i tam

były w czasie buntu wykłady /"międzynarodowe położenie" i tak dalej/, potem film. Nawet polskie filmy były często, na przykład "Ostatni etap" pokazywali. Kto chciał, to poszedł, ale już na siłę nikogo nie ściągali.

M.D.- Organizacja: magazyny żywności były obstawione przez więźniów, żeby nie było rozkradania, idealnie wszystkim wydzielano. W każdym obozie był magazyn, który ze względu na warunki zimowe - że nie było dojazdu - miał przynajmniej na miesiąc żywności. To były magazyny wewnątrzobozowe, trochę oddzielone, odgródzone drutami od obozu, ale były w zasięgu.

J.M.- Było pogodnie, izażyło się cały dzień.

W czasie buntu była łączność między obozami. Przecieki były różne, bo byli tacy więźniowie, którzy na takich podwodach jeździli z obozu do obozu, coś tam przewozili, jakieś ubrania. I oni oczywiście - jak tu siedział mąż, a w drugim obozie siedziała żona, to przez tych ludzi starali się nawiązać jakiś kontakt.

W czasie buntu było z tym trudniej. Słychać tylko było odgłosy: albo strzeżaninę, albo krzyki. Był w okolicy kobiecy obóz, była piątka.

M.D.- Kiedy się zaczął bunt, przyjechała pierwsza delegacja z Krasnojarskiego Kraju. Bo naczelnicy w dbałości o własną skórę chcieli ten bunt własnymi siłami zdławić, żeby się to dalej nie rozprzestrzeniało. Bo to im chwały nie przynosiło. Ale skoro to już przeniosło się na szereg innych obozów, nie byli w stanie i została powiadomiona o tym Moskwa. Bo przedstawiciele komitetu obozowego żądali wyłącznie przedstawicieli z Moskwy. Kiedy przyjechała pierwsza komisja, na czele której stał bodajże generał Zwieriew, to i z nim nie chciano rozmawiać. Powiedziano mu: "Ty masz spaprane ręce po

łokcie w ruskiej krwi. Z tobą *razgawariwał nie budiem*". W następstwie tego przyjechała delegacja z Moskwy. J.M.- Po jakichś 5 dniach jakiś łeppek przyjechał. Nie chcieli z nim rozmawiać. Domagali się, żeby ktoś z Moskwy przyjechał. Upłynęło chyba 10 dni. W końcu przyjechał Woroszyłow.

Wszystkich na plac, stół wystawili. Woroszyłow:

- Jakie macie żądania?

Wyliczyli wszystko.

- Od tej chwili możecie numery zrywać, kraty z okien zdejmować, stołówka będzie wolna...

I rzeczywiście, zorganizowali kiosk, gdzie można było kupić chleb, za pracę będą płacić, tylko odliczać na koszty obozowe i za umundurowanie. Wszyscy zaczęli zrywać numery, niektórzy mieli naszyte, niektórzy wymalowane. Radość...

Ja stoję, a w brygadzie miałem takiego przyjaciela. Iwan Mitrofanowicz Lizotow, Rosjanin, major. On mówi:

- Co ty stoisz, podejdź do tego bydlaka i powiedz, kto tu jesteś i jakim prawem oni cię tu trzymają.

- Iwan Mitrofanowicz, po co ja pójdę, rok mi został niecały...

I nagle - jak mnie wypchnął, podszedłem. Woroszyłow siedzi:

- *W czym dieło?*

- Panowie, jestem Polakiem, dali mi 10 lat, nie wiem za co, za nic, niesprawiedliwie mnie sądzili, dlaczego mnie tu trzymają?

- *Haraszo. Poczeka!* - i mówi do gońca - Skocz po akta...

Stałem z boku, w międzyczasie inne sprawy załatwiał. Za jakieś 10 minut / bo to rozległy teren / przyleciał goniec z aktami. On otworzył akta, przejrzał:

- Gdyby to ode mnie zależało, to ja bym cię od razu zwolnił do domu.

- To proszę to zrobić!...

- Nie, ja muszę porozumieć się z *wierchownym sowietom* w Moskwie. Za 2-3 dni będziesz miał odpowiedź.

Następnego dnia już wyszliśmy do pracy. Za jakieś dwa dni przychodzę z pracy, jem, co nam dawali - przychodzi goniec z kancelarii:

- *Morozowski Jurij Stefanowicz!*

Zawołał jeszcze jednego Polaka z Tarnopola i jednego Węgra, który był inwalidą, bo siedział na nasypie kolejowym i jak szły wagony - podłożył dłoń. Miał wyrok 15 lat, odsiedział już chyba 9, to z powrotem miał odsiadywać od początku. Inwalidą go zrobili, tak że do pracy nie chodził.

- Jutro do roboty nie wychodzicie.

Więc rano nie wyszliśmy do pracy. Przyleciał znowu goniec i mówi, żebyśmy poszli do kancelarii. Poszliśmy.

- Macie zdać swoje umundurowanie, otrzymacie nowe i nową pościel.

Pościel to był materac wypchany wiórami i poduszka też wypchana wiórami, koc i prześcieradło. Wymieniłem sobie wszystko.

- A co masz w depozycie?

Miałem, jak mi naliczyli, 3 ruble z kopiejkami, to mi wypłacili. Ale nie mówili, że zwalniają...

Trzeciego dnia przychodzi znowu goniec, żebyśmy wyszli z *wieszczami*. Idziemy na wachtę, zebrało się nas z 7 tysięcy osiemdziesięciu czterech albo pięciu. Stoi auto ciężarowe z tyłu, trzech oficerów: major, kapitan, czy jakieś inne szarże, za chwilę otwierają bramę: *Wychaditie*. Wyszliśmy, a

oni: *Грузданин, здравствуйте! Всегда заключени, а teraz "obywatele"*.

- My was teraz przewieziemy do innego obozu.

Zawieźli nas do chyba obozu piątego. To był normalny obóz, tylko dwa czy trzy baraki były oddzielone i tam nas umieścili. I zaczął się drugi bunt. Jak to było:

Myśmy Polacy się w tej grupie zorganizowali. Było nas sporo - ze setka, może więcej. Znalazi się ksiądz: "Chłopcy, ja odprowadzę mszę". To był jakiś ksiądz z Wileńszczyzny. Miał niby kielich, wszystko prowizoryczne, w baraku. Dwóch stało na czatach, bo za to przecież karali, sadzili. On odprowadził mszę, wysłuchaliśmy mszy.

Chyba na trzeci dzień wybuchło znowu powstanie, we wszystkich obozach. Ci z tamtej strony - tutaj było nas około 300 osób, tylko byliśmy drutami oddzieleni od reszty obozu - chcieli nas odbić i wziąć jako zakładników, i ruszyli! Stały wieżyczki, zaczęła się strzelanina, oni odstąpili. *Краснопольники* przylecieli, wyrabiali w drutach przejście od strony tundry i kazali nam wyjść. Wszyscy wyszliśmy i doznaliśmy /potem nas podwieźli/ do tego ostatniego obozu.

Tam jeszcze nikogo nie było byliśmy tam tydzień albo dwa, w końcu nas załadowali na wagony. Zegnar nas jakiś generał, życzył nam wszystkiego najlepszego i tak dalej i tak dalej.

Zawieźli nas do Dudzinki i załadowali na statek "Josip Stalin", tam, gdzie był film "Wołga, Wołga". Bunt w Norylsku jeszcze trwał, już tam ucichało, ale myśmy byli odizolowani, więc trudno coś o tym mówić.

M.D.- O co tam bardzo dbano... Wszystko było stemplowane: NKWD, NKWD. Później, przed wyjazdem zaczęto dbać o to, żeby nic nie było stemplowanego. Kilkakrotnie rozbierano

i sprawdzano, czy nie stempionowego nie zostało.

J.M.- Byli różni ludzie. Nie mogę powiedzieć, żeby oni bili czy coś, bo tego im nie wolno było. Ale byli obojętni albo patrzyli czasami przez palce.

M.D.- Ale oni do tego przygotowywali wewnętrzną służbę złożoną z więźniów. Oni od tego ręce umywali, ale stwarzali takie warunki, żeby się wyżywali ci z wewnętrznej służby. Bo jeżeli on się nie wyżywał, to nie pełnił tej obozowej funkcji. Ci *nariadczycy* i inni.

Wolni o wszystkim wiedzieli z tego względu, że ustało życie w Norylsku. Oni przychodzili pod obozy z żywnością, tylko ich nie dopuszczano.

J.M.- Raz tylko dorwali się do radiowęzła, do kotłowni, i zaczęli: co chcemy, czego powinniśmy żądać. Ale to trwało może z pół godziny, widocznie zabronili...

M.D.- W Gorstroju, za jeziorem, gdzie budowano domy, rzecz polegała na tym, żeby więźniowie nie przychodzili do obozu, żeby byli na miejscu pracy. A takich wewnętrznych, wydzielonych miejsc pracy było w Norylsku bardzo dużo. Tam im nie dostarczano żywności, tylko głodem brano. Po kilku dniach oni byli i potem przeciwdziałano solidaryzowaniu się tych Norylczan, którzy mieszkali poza obozem, którzy dostarczali ze swojej strony żywność. Władze na to bardzo energicznie reagowały, nie pozwalali na to, po prostu strzelali. Ale kiedy budowano ten Gorstroj, to budowano zespół budynków (pojedynczo nie budowali), a w połowie już były domy mieszkalne, zamieszkałe przez ludzi. I z tych domów mieszkalnych zrzucono żywność, na teren wydzielonych miejsc pracy, gdzie byli więźniowie.

J.M.- U nas wszyscy byli w obozie. Staro się tak: gotowi

byliśmy do wyjścia. I nagle wlatują nasi z komitetu - "na robotę nie wychodzimy". Jeszcze wtedy nikt o komitecie nie wiedział. Dopiero jak się zaczęły pertraktacje, wtedy dowiedzieliśmy się o komitecie.

M.D.- Opozycja wewnętrzna organizowała się wcześniej.

J.M.- Opozycja wcześniej była taka - tam byli Japończycy. Oni byli z tej wojny bakteriologicznej zdaje się. Wszyscy nie wyżsi jak metr-pięćdziesiąt, takie kurduple za przeproszeniem. W naszym obozie było ich z pięćdziesięciu. Ja przyjaźniłem się z jednym z nich. Wiem, że Abe - czy to nazwisko, czy imię? Chyba nazwisko. Oni gromadzili się w ośmiu-dziewięciu w naszej sekcji i sobie siadali i szwargotali po swojemu na pryzkach. I kiedyś przychodzi do mnie ten Abe i mówi:

- Słuchaj, ponieważ ja mam do ciebie zaufanie - czy ty byś nie chciał należeć, bo my stworzyliśmy organizację...

To był rok chyba 1952, bo oni w tym roku byli zwolnieni, wszyscy wyjechali. I on mi zaczyna nawijać, że oni mają do mnie takie zaufanie i że ja jestem jedyny z całego obozu, jeżeli ja chcę przystąpić...oni są w opozycji...

- No dobrze - mówię - ale jakie będzie nasze zadanie?

M.D.- Japończycy chętnie nawiązywali kontakty, bo byli bardzo dobrze zorganizowani, ale .Jeżeli wiedzieli, że ktoś jest Rosjaninem...

J.M.- Byli bardzo solidarni między sobą.

- Ale czy to ma sens? - mówię

- Niech to nie będzie twoje ostatnie słowo...

To trwało jeszcze dwa-trzy miesiące, a potem ich nagle wszystkich zwolnili i wywieźli.

M.D.- Oni tak wszędzie byli, robili niezbędne rzeczy w

obozie, jakieś lekkie buty, coś zawsze zorganizowali, szyli. Ja też byłem z jednym Japończykiem zaprzyjaźniony. Ja przyjeżdżałem do tego obozu - on był chory, nie opuszczał baraku, nie mógł dostać cukru czy czegoś. Kiedyś jeden z tych Japończyków przyniósł mi takie lekkie buty, ładnie zrobione z jakichś pozostałości z rzemiennych pasów. I on mi napisał kartkę, że przez kolegę przesyła. Po rosyjsku, uczyli się języka rosyjskiego, dobrze mieli opanowany język rosyjski, nawet w piśmie. I co pisał - że prosi mnie, żeby dostarczyć jemu trochę cukru, bo jest bardzo chory. A podpisał się: *japoński major - pa ruski sabaka*. Takie charakterystyczne, jak oni odczuwali to odnoszenie się do nich.

J.M.- Powiedział, że są w opozycji. To ja mu: no dobrze, to co my będziemy robić? On mówi: słuchaj, to wszystko będzie jeszcze uzgodnione. O ucieczce nie mówił. Oni raczej by się nie odważyli, bo zwiąc stamtąd to mowy nie ma.

M.D.- Najbliższa droga ucieczki - przez Piasino i dalej. Po Jenisieju mowy nie ma.

J.M.- Jak nas wsadzili na statek, to myśmy jechali 11-12 dni w górę Jenisiejem, do Krasnojarska. Podczas rejsu mieliśmy opiekunów, nie niższych szarżą jak kapitan. Wszyscy z automatami. Ci z naszej ochrony od razu oddali nam te automaty: *wy prechowajcie*. Bo co - oni cały dzień pili, co mieli swoje, przepili, potem myśmy im tę wódkę stawiali. W Krasnojarsku oczywiście do więzienia, tam siedzieliśmy 2-3 dni. Załadowali nas do wagonów i po kilku dniach - dość długo trwała ta jazda - do Moskwy na dworzec białoruski przyjechaliśmy.

Postawili cały nasz transport na wysokim nasypie. Nasyp był chyba na wysokości trzeciego piętra, a w dole szła ulica

i płot z siatki. A nam załadowali do pociągu, do każdego wagonu beczkę solonych śledzi. Myśmy tego nie jedli - raz, że mieliśmy tego dosyć, po drugie - że przecież potem trzeba pić!

Na tym dworcu pracowali dróżnicy, Rosjanie. W pewnym momencie słyszemy muzykę, harmonię. Wagony były nawet pootwierane, tylko powiedzieli "proszę nie wychodzić". Patrzymy - grupa Rosjan, robotnicy, w ubraniach roboczych. "Zdrawstwujię, Paliaki!". My zdziwieni. Podeszli, papierosami nas częstują. My mówimy: "możemy wam dać najwyżej beczkę śledzi". "Dawajcie, u nas *ocień płocho*". Wzięli tę beczkę śledzi: "To my was zapraszamy do naszego klubu!". A oni mieli tam wagon i zrobili tam klub. 50-60 nas tam poszło. Oczywiście potańczyli tam i pośpiewali, nagadaliśmy się, mówili na ucho, jak u nich *płocho*.

M.D.- Jest istotna sprawa, która należałoby podkreślić - że to wszystko trwało w okresie niestabilizacji, pierwszej od czasu zakończenia wojny. Była wówczas u nich sprawa Berii, rozprężenie, wszystko się mogło zdarzyć.

J.M.- Jak jechaliśmy statkiem, to podano, że na Berii wykonano wyrok.

M.D.- To było transmitowane przez radio, celowo, wszędzie stały głośniki, na stacjach, wszędzie, i mówiono, jak to się odbywało, że takiego i takiego... Jak oni zaczęli te wyroki, od rana mówili, krótko: *izmiennik rodziny, takoj, takoj, smiertnyj pridawor*, i za kilka sekund dosłownie powtarzają: "Wykonano", i następny, i następny. Były komunikaty, że to wszystko opanowała grupa wrogów narodu, chcieli jakoś to załagodzić. Ale to były pierwsze niepokoje po wojnie na większą skalę.

wyleciałem pierwszą grupą z Norwiska samolotem. Jak nas prowadzili pod konwojem w Krasnojarsku na lotnisko, nie wiadomo skąd znalazła się grupa młodych ludzi, i na konwojentów: "Ciewoż wy, sabaki! Riebiata, dawaj na nich!" I tych konwojentów rozbroili! I oni bez wystrzału oddali broń, ci, którzy nas pilnowali! Co się później stało, nie wiadomo.

Co ja tutaj podkreślam: u nich zaczęły się niepokoje. Strumili je, my byliśmy tak izoiowani, że nie mieliśmy informacji, co się dzieje na zewnątrz.

J.M.- Wróciliśmy z tego klubu, no i co robić z tymi beczkami? A tam na dole na ulicy zebrała się grupka ludzi. Jeden z nas pyta się, czy chcieliby. "Dawaj!" To my te beczki sturlaliśmy. Pięć czy sześć tych beczek poleciało i ten płot rozwaliło! Beczki też się rozsypały i te śledzie na ulicę. Ludzie zaczęli zbierać, w 15 minut przyjechała milicja i dawaj - ślizgali się po tych śledziach!..

M.D.- Był taki system: gdziekolwiek był region, że były jakieś niepokoje - przerywano dostawy żywności. Brano głodem po prostu, wołnych ludzi. My byliśmy więźniami. To była pierwsza broń u nich - głodem wziąć.

To należałoby właściwy sens pokazać, jak było w tych obozach, że na skutek warunków, jakie tam były, wybuchł bunt. Bo kto nie ma wyobrażenia o obozach, myślałby, że tam naprawdę tak wszystko przechodziło. Wskutek dużej śmiertelności, morderczej, głodowej pracy wybuchł bunt. Desperacja, ostateczność doprowadziła do tego buntu.

Ja w owym czasie byłem poza obozami.

Cały Norwisk był jednym olbrzymim obozem.

To były tzw. *zagrad-odrady*, specjalne jednostki "odcinające", *sekretne posty*. W miejscach, gdzie były by

szanse ucieczki, były posterunki pilnujące. Nie wszędzie. Dlaczego Rosjanie mówią, że tundra *nieprechadimaja*? Latem błota, a zimą mróz, i nie ma co, bez pomocy zginiesz. I *zagrad-odrady*. Ludzie ci byli specjalnie premiowani. Za każdego pochwyconego więźnia, za dostarczoną - ja mówię fakty, z całą odpowiedzialnością! - lewą dłoń byli premiowani. Tak jak w tej piosence: *Wtom nieczajno, niezdano, niegadano...niespodziewanie*, byli zmęczeni, znaleźli coś, chcieli odpocząć, no i trafili na tą właśnie *zagrad-odradę*.

Oczywiście słyszałem o ucieczkach. Ale ucieczki jakie: dobrze zaopatrzeni w "konserwę", żywa, ludzka, tak było.

J.M.- Była raz ucieczka nawet samolotem. Dwóch. I ich złapali. Słyszałem, jak opowiadali - że jakiś lotnik. To było w latach 1948-49 chyba. Jeden z nich to był bodajże *gieroj sowieckowo sajuz*a. A przecież z nimi się cackali jak ze świętymi. Musiał coś przeszkrobać. że był w obozie...Drugi to jego kolega chyba. Człowiek się wtedy nie interesował...Porwali samolot z lotniska. Złapali ich gdzieś na Dalekim Wschodzie. Kierowali się na Sachalin. W okresie nawigacji, jak rzeka puściła, przez trzy miesiące była komunikacja rzeką. A tak - samolotami wszystko: czyste aluminium, czystą miedź, zioto.

M.D.- Ja się zaprzyjaźniłem - mam jego zdjęcie. listy, jeszcze niedawno list mi przysłał - Borysem Dimitriewem. Mój rówieśnik, miał wówczas też ze 20 lat. I jak człowiek odczuwa - bo w normalnych warunkach nie zdaje sobie z tego sprawy - widzisz z gór, że jakieś życie. widzisz tundrę zieloną, rzekę, widzisz, że jest jakieś inne życie... A tutaj, w tych kamieniach - bo na Miedwieżce same kamienie i mech, nic więcej! I codziennie głód, wykańczająca praca, że człowiek

przychodził z pracy (to trudno dziś zrozumieć) i ani nie myślał o jakimś umyciu (świerzb i inne sprawy były na porządku dziennym), tylko rzucał się na te gołe deski, na nary i tak spał do następnego gongu. Jak przyszły te wiosenne, troszkę cieplejsze dni, wyszło słońce, to o niczym innym się nie myślało, tylko przewodnią myślą było: "żeby chociaż te kilka dni...". I ten kolega Borys Dimitriew namawiał mnie: "Chociaż te kilka dni, chociaż *niedieliu*, ale na swobodzie *budiem...A dalszie...*". Namawiał mnie do ucieczki. Jemu nie chodziło o to, co będzie dalej, jakie będą konsekwencje, co będzie - tylko żeby się z tego obozu wyrwać. "Bo - mówi - i tak tutaj zginiemy, i tak, to chociaż *na swobodu nieskolko dni pażiwom*". Tak to wyglądało.

Jeżeli złapano uciekinierów, to było obowiązkiem przywieźć ich na miejsce. Bo tu jest następna istotna sprawa - my tu troszkę sielankowo mówimy o tym. Jeżeli uciekinierów złapano głęboko w tundrze (trudne jest konwojowanie takich więźniów, taki więzień wie, co go czeka i jest gotów na wszystko) to ci z *zagrad-odradów* raczej nie chcieli ryzykować... Ale jeżeli kogoś złapano i była możliwość dowieźć go, to stawiano go podpartego czymś przed wejściem do obozu i on tam kilka dni z odpowiednią tabliczką stał i patrzcie, takie są losy każdego, kto podejmuje ucieczkę. I na Miedwieżce to nie należało do rzadkości, że tacy podparci stali.

Tutaj mówimy, ale to nie jest to, czym był Norylsk. Dlatego, że nam się trochę w życiu... my nie byliśmy tak traktowani jak ogół, nas to szczęście trochę "podwiozło". Nawet z tej katastrofy lotniczej też się ktoś nieraz uratuje. Tak i my. Ale kto był na tych ogólnych robotach - to nie wyglądało tak.

[Podczas buntulo co chodziło - żeby stworzyć względnie ludzkie bytowanie. Bo z więźniów nikt nie otrzymywał żadnych listów. Ale i z tych wolnych, czy oni listy pisali? Miałem rodziny, u których bywałem w Norylsku, u tych *wolnonajomnych*, jak ich nazywali, czyli jakby ochotników. Mówiono, że przyjechali do Norylska ochotniczo za karę.

Ja po przyjeździe tutaj, po 2-3 latach pisałem do Norylska, do tych ludzi, z którymi byłem tam zaprzyjaźniony. Nigdy żadnej odpowiedzi nie dostałem.

[Naczelnicy obozów] to byli ludzie, do których więźniowie nic specjalnie nie mieli. Z 10-go *tag-otdielenja* przypominam sobie, bo on mi przepustki stempłował, to był pułkownik Serdajew.

Za różnego rodzaju przewinienia trafiano do obozu Kawargon. To był jeden z najcięższych obozów, jeden jedyny w Norylsku karny obóz. Nie miał numeru, po prostu Kawargon. Miał bardzo złą sławę. Bo wówczas nie było u nich kary śmierci.

Dlaczego paneszyła się ta *sapana*, w języku obozowym *szpana*, oni mówili ordynarniej *szobło-jobło*, to ci zsuczeni, biatnyje, ci, którzy nie chcieli pracować, tylko żyli kosztem więźniów, władza im powierzała funkcje, bo nigdy nikt z paragrafu 58 politycznego nie miał żadnej funkcji. My byliśmy dla nich "faszyści". Im chętnie powierzano funkcje, bo oni będą według własnych zasad trzymać wszystko w ryzach.

Ale począwszy od roku 1951 więźniowie zaczęli się organizować. Tam było bardzo dużo więźniów-wojskowych, nawet z wysokimi stopniami oficerskimi, i oni zaczęli to organizować. Zaczęło się podziemie.

Bo przecież było tak, że w okresie niedostarczania chleba

w obozach panował głód. Na Miedwieżkę najtrudniej było się dostać, bo to były strome zbocza, podjazdy. Wszystko było zawiane śniegiem, a jakie zasypy tam się śniegu tworzyły, to jest nie do pojęcia.

Norylsk znajduje się w kotlinie, ale jest otoczony wiatrołomami. Na potężnych wkopanych słupach były deskami obite płaszczyzny, pod odpowiednim kątem nachylenia. Bo wiadano, z której strony najczęściej ten wiatr atakuje. Bywało tak, że Norylsk był dosłownie zasypany śniegiem. Przecinano tylko "kanały", z wierzchu nakładano coś i dalej śnieg zasypywał, a pod spodem, w "kanale" była możliwość poruszania się. Wiatrołomy ukierunkowywały wiatr w okresie *purgi*. To był chyba północny wiatr. Od strony Miedwieżki raczej ich nie było, bo był już masyw górski. Wiatrołomy miały za zadanie przeniesienie fali wiatru ze śniegiem. To były sprytne urządzenia, tak ze sobą poustawiane, że ochraniały Norylsk przed zasypaniem. Były dosyć wysokie, do 6 metrów wysokości. W miejscach niższych, gdzie były te korytarze śnieżne największe. Tam były najróżniejsze nazwy tych wąwozów, po których hulał wiatr. Przed podejściem do Miedwieżki były tak zwane "Wrota Śmierci". Kto się tam zima oderwał... Były tam liny naciągane, a nawet było tak, że kiedy zaczynała atakować *purgę* - tak, bo to był atak tej wściekłej zimy, tej *purgi* - to były te *śniegochody*, na gąsiennicach pojazdy. Śnieg był tak zbity, jak asfalt, on się nic nie ugiął, tak go ubijał ten śnieg i mróz! Pojęcie śniegu - inny jest śnieg u nas i inny na dalekiej północy. U nas weźmiesz ten śnieg i możesz go lepić, bo ma dużą zawartość wilgoci. Tam są zmarznięte drobiny lodu. Wiatr i niskie temperatury tak zbijały ten śnieg, że był twardy jak asfalt. I kiedy

purga atakowała, a brygady były na miejscu pracy, zwłaszcza w Rorstroju, w Rudniku Odkrytych Robot - nie było możliwości powrotu do obozu. Wysyłano śniegochody, gdzie ludzie szli przed nimi i podawali kierowcom właściwą drogę, żeby się gdzieś nie stoczył z tej góry, bo też były takie wąwozy i zbocza. Przy tych pojazdach były porobione liny i pętelki, każdy trzymał za swoją pętlę i ten pojazd kierował się do obozu.

J.M.- Były wypadki, że usiadł, usnął i koniec. Bo przecież wiatr 28 metrów na sekundę, a mróz -37, -38 stopni. Coś potwornego, jakby piec hutniczy otworzyć...

M.D.- Kto się oderwał czy w czasie purgi zaginął, to nie było możliwości odnalezienia go, bo śnieg go zasypywał, żadnych śladów. Nikt go nie szukał. Normalną rzeczą było wiosną, że jak śnieg stopniowo taje, to tu gdzieś noga, tu gdzieś ręka, tu kogoś znaleziono... No ale z drugiej strony taki zamarznięty też dostarcza komuś czegoś...Mówiłem o tych uszkach, które siostra dla gości przygotowała, a ja sobie przypomniałem inne "uszki", jak mnie poczęstowali Rosjanie...Dopiero później powiedzieli, co to jest.

Ale to były lata do 1949 , później już... Norylsk dostarczał rudę, dostarczał bogactwo, jakie posiadał. Każdy z naczelników obozów miał zadania do wykonania. A oni potrafili karać swoich ludzi za niewykonanie. Właśnie kosztem nieliczenia się i z tymi ludźmi osiągnano takie wyniki, jakie zaplanowano na dany okres.

J.M.- Z Krasnojarska przyjechaliśmy do Połmy. W Połmie zaczęła się... nie sielanka, ale... do pracy nie chodziliśmy. Przyjechaliśmy chyba w lipcu. Zaczęliśmy się dowiadywać, kiedy będzie odjazd."Aaa, niedługo, niedługo." Trwało to

"niedługo" aż do 1954 roku do stycznia.

Tam był zatarg z Czechami. Oni wzięli w swoje ręce magazyny i kuchnię; no i zapatrzili się tak, że oni niewłaściwie postępują, i po prostu dali im wytrząsk taki obozowy, tak, jak się daje "koca". Wszystkie narodowości Czechów było chyba powyżej dwustu, ze dwa baraki. Nas Polaków było około 1.000, w tym były i kobiety, i dzieci, bo tam się już urodziły. Byli Bułgarzy, Jugosłowianie, Czesi, Węgrzy, Niemców trochę. Byli Niemcy stąd, pamiętam jednego, Zając się nazywał. On, jak twierdził, służył w armii niemieckiej, ale więcej nic nie można było wydobyć: jak on popadł, dlaczego on popadł do takiego obozu. Bo przecież były obozy jenieckie niemieckie...

W tej Poćmie dobiliśmy do 1954 roku, ale był bunt. Po prostu zrobiliśmy głodówkę. Głodówka była w grudniu 1953 roku. W końcu grudnia, już po świętach Bożego Narodzenia przyjechał Woroszyłow. W święta nie było głodówki, po świętach była głodówka.

M.D.- Zaczęły krążyć wersje, że jeszcze możemy pozostać. Nasz wyjazd się odkładał. Codziennie pytaliśmy, kiedy odjedziemy, kiedy odjedziemy. Celem tego naszego pobytu tam było doprowadzić każdego do jakiegoś względnego wyglądu. Bo myśmy do siebie byli przyzwyczajeni, ale widocznie oni sądzili, że my jeszcze nie nadajemy się. A zobaczyliśmy, jaka jest różnica między tymi, którzy byli w obozie, bo kiedyś zwrócono się do nas latem, żebyśmy pomogli w sąsiednim kołchozie kopać kartofle. Bez ochrony, tak nas wzięli. To jednak widzieliśmy tę różnicę.

J.M.- Tam chodzili jeszcze w plecionych łapciach z łyka. To Mordwini, bo to Mordowska SSR.

M.D.- Nasz wygląd zewnętrzny jeszcze się nie kwalifikował. Tam było normalne wyżywienie, nie pracowaliśmy. Często były wizyty lekarzy, oni obserwowali, jaki jest postęp w naszym doprowadzaniu do normalnego wyglądu. Później zaczęliśmy organizować różne zawody sportowe.

J.M.- Ja mam nawet dyplom zrobiony przez Rumunów, że w koszykówce pierwsze miejsce zajęliśmy, reprezentacja Polski. Mam to, znajdę.

M.D.- Był z nami kolega, nazwisko Mironowicz, i on miał wytatuowane na lewym ręku: "Norylsk" i jakieś tam jeszcze, obóz, w którym był. To jego zabrano do Kujbyszewa i usunięto tatuaż, potem z powrotem przywieziono. I dlatego jak niektórzy mówią, że jakieś dokumenty przywozili stamtąd. Niewiele jest chyba dokumentów z dalekiej północy.

Nawet obcując z tymi Rosjanami, z którymi raczej na korzystnej stopie byliśmy, oni też mówili: "Zapomnijcie, że wy kiedykolwiek do Polski powrócicie. Byliście świadkami spraw, jakie tutaj się działy". Bo troszeczkę jest w naszej rozmowie takiej sielanki, a codzienne życie tak nie wyglądało.

Okaleczanie się ludzi - masy było tak zwanych *samorubów*, sama nazwa mówi, co to znaczy. Przeciąć sobie stopę czy coś takiego to dla niego nic nie znaczyło, bo on wiedział, że już nie będzie wykorzystywany do jakiegóś pełnowartościowej pracy gdzieś w kopalni, że będzie zatrudniony w obrębie obozu. Jak ten Pisarkewicz, obciął sobie rękę.

J.M.- 3 stycznia 1954 wyjechałem z Połmy. Bo był Woroszyłow po tej głodówce, i powiedział: "Chłopcy, za trzy dni będą podstawione wagony".

M.D.- Ja to sobie kojarzę z Kalininem, bo przyjechała z Moskwy cała świta.

J.M.- Bardzo uprzejmy, z arystokracji pochodził. W życiorysie on nie miał zbyt pochlebnych recenzji, ale tak to był człowiek...No, tak jak się w stosunku do mnie zachował, aresztanta...

Załadowali nas do wagonów, dotarliśmy do Brześcia. Tu łączy, przyszedł parowóz z Polski, już doczepili... Słyszemy: otwierają się kolejno wagony. Już nie w Brześciu, w Terespolu, po stronie naszej. Otwierają się odzieżnia, wychodzimy z wagonu, patrzymy, a tu stoją - młode chłopaki, po dwadzieścia parę lat, UB. Cekaemy ustawione i szpaler zrobiony do drogi, tam stoją czerwone autobusy. MFK-Lublin pisze czy inaczej, w każdym razie z Lublina. "Idźcie panowie tu prosto". Podchodziliśmy do autobusu, jak się wchodziło, to podawali nam torbę, w torbie był kawałek kiełbasy, dwie bułki, papierosy, jabłka zdaje się. Weszliśmy, zajęliśmy miejsca, patrzymy - w przodzie siedzi dwóch młodych, z tyłu znowuż dwóch, ochrona, i takimi lampkami podają sobie znaki. Pytamy się ich: "Proszę panów...". Nic się nie odzywają. "Proszę panów..." "Aaaa, dajcie spokój".

Przyjechaliśmy do Tomaszowa Lubelskiego czy do Bełżca, tam nas osadzili w poniemieckich barakach.

M.D.- To obóz był poniemiecki, ale baraki były pożydowskie.

J.M.- W każdym razie tam warunki były też dobre, zorganizowaliśmy nawet chór. Tadek Studniarski i Żurański, wracali też z Norylska, z Warszawy chłopcy. Był nawet czas, że ja Żurańskiego dokarmiiałem, bo ja nie zjadałem swojego, jak byłem brygadzistą, dostawałem +trzy, i wydelegowałem *dzińszczyka* takiego słuźbowego, co porządek robi w baraku, *dniewalny*, i wyobraźcie sobie, jesteśmy w Wilnie, bo moja żona z Wilna pochodzi, zszedłem do takiego sklepu

jubilerskiego, stoję i stoi ten *dniewalny*, Wołodia, ale nazwiska nie pamiętam. On Polak, tylko z Wilna. On jak mnie zobaczył: "Jurek, chodź do mnie, ja już mam *awtomaszine*". Nie mamy czasu, mamy dwie godziny, bo pociąg odchodzi... Rodzice mieli tam mająteczek, 40 kilometrów od byłej granicy sowieckiej, za Wilnem 240 kilometrów. Obecnie tam jest siostra żony, pozostała matka, dwie siostry. One nie chciały wyjechać, ponieważ było trzech braci i Rosjanie ich aresztowali. I matka liczyła, że oni wrócą. Tymczasem jeden zdaje się zginął pod Monte Cassino, a dwóch Rosjanie prawdopodobnie rozstrzelali. A myśmy byli tam chyba z pięć razy. Panięskie nazwisko żony Ciereszko.

Okres obozowy to była makabra. Nie da się tego opisać. Przecież człowiek wracał, rzucał się na te nary, wypił zupę i marzył o tym, że kiedyś może dorwie się do tego chleba. Były takie przebłyski, bo ci, którzy byli na ziemiach obecnie zajętych przez Związek Radziecki, dostawali paczki. Były takie wypadki, że Białorusin, mówił doskonale po polsku, ale "jestem Białorusinem", z Mołodeczna, Władygan się nazywał, i mówi: "Jurek, ty wiesz, że dzisiaj Boże Narodzenie?". "A skąd, mówię, mogę wiedzieć?". "Siadaj". I oni otrzymywali w paczkach suszony biały ser, suszoną albo wędzoną słoninę, suchary. Złożył to, mówi: "Zjedźmy Wigilię". Takie były przebłyski, raz w roku.

M.D.- Kalendarz był obcym pojęciem. Nawet ja będąc tam zastanawiałem się: jest już Boże Narodzenie czy nie? No to chyba będzie już, obchodzimy.

J.M.- Byli Tungusi, to im specjalnie dawali surową, żywą rybę. Bo przychodzili pod obóz ich *ziemiaki* i żywą, żywą rybę... On sobie siadał na pryczy i tę żywą rybę, tu się

ruszała, a on... tylko trzeszczało w zębach, posolił...

M.D.- Ucieczki z obozów tylko tym Tungusom się udawały. Bo gdzieś skontaktowali się, swoi czekali, na reniferach gdzieś...

J.M.- Przywozili do obozu zimą kartofle. One były zmarznięte. Ale jak kartofel zamarznie, to tak jak mięso - wrzuca się na gorącą wodę i potem doskonały jest, sypki. A oni rzucali je po prostu na wolne powietrze i to leżało. Niewiele było, ale zawsze się skombinowało. Potem na tłuszczu... Początkowo taki specyficzny zapach, ale jakie to doskonałe, jakie pożywne.

M.D.- Jaki jest po obozach nasz stosunek do ludzi, moje osobiste odczucie: nie zdajemy sobie sprawy, jakie to nasze życie, chociaż jest przykre, jak niektórzy mówią, ale w naszym odczuciu to żyjemy w raju. Bo zawsze się pamięta... Ile ludzie tracą czasu na różnego rodzaju błahe konflikty, bo jakoś nie mieli do czynienia z czymś... Jak człowiek pragnął takie s p o k o j u ... Moim największym marzeniem jest - może kiedyś doczekam - żebym mógł sobie założyć koszulkę z krótkim rękawem, lekkie spodnie i wyjść gdzieś na ulicę popatrzeć na ludzi. Nic człowiek więcej nie chciał - tylko popatrzeć na ludzi, być między ludźmi. To było moje marzenie. I gdy teraz, nawet w domu żona robi z czegoś problem, kiedy były takie niedobory, "tego nie ma, pójdę w nocy stać"... Mówię: zastanów się, masz w domu kartofle? masz trochę oleju? Ty wiesz, jakie to bogactwo? A ty mówisz, że czegoś nie ma... Człowiek jak miał takie podstawowe rzeczy tylko, no to już czuł się... Wyjeżdżając z Norylska - i to mówili ludzie nie tacy sobie przeciętni, ludzie, którzy mogli mieć jakieś inne pretensje do życia, ze względu nawet na wykształcenie - to ja

paniętam słowa jednego, jak wyjeżdżałem: "Marian, niczego ci nie zadroszczę, tylko, że wreszcie się chleba najesz do syta".

Proszę sobie wyobrazić, że były takie okresy w Norylsku... To tutaj mówią, że są "trudności z dowiezieniem, że troszkę tam zasypało, zawiało". A tam, żeby dotarły konwoje z żywnością do Dudzinki, ile po drodze było: po jednej stronie obóz, po drugiej. Dlaczego takie było usytuowanie tych obozów - ponieważ zadaniem tych ludzi było odśnieżanie torów. Kiedy purga wiała, to się wszystko kończyło, żaden strażnik... Jak się zorganizowali, wychodzili przez druty poza zonę. Tam po śniegu jak po asfalcie, wychodzili, bo wiedzieli, że z Dudzinki będzie jakiś transport jechał. Nie było krytych wagonów, wożono na platformach. Śniegiem zawiało, oni tylko stawiali jakieś pajaki, gdzie tam beczka z treską albo worek z makiem... Te obozy, pomimo, że srogiemu reżimowi, ale one dobrze się miały, bo wychodzili na taki rozbój.

Kawargon - oni nie mówili, że to karny obóz, wychowawczy obóz. Zsyłali tam na krótszy okres, przejściowy. Po pewnym czasie wracali stamtąd więźniowie do innych obozów.

J.M.- Ja marzyłem tylko, żeby się chleba do syta najieść, mieć wieczne pićro, poleżeć, żeby przy łóżku stał dobry napój, nie wódka, niech Bóg broni, nie marzyłem.

Do dziś - ciasto jest, ja ukroję kawał chleba, suchy chleb z herbata...

M.D.- Żona się na mnie nieraz denerwuje: "Cholera, dziadu, obiad ci przygotowuje...". A co mi robi największe zadowolenie - śledziowe filety, bo tak człowiek do tego... I ugotuje sobie trzy-cztery ziemniaki w mundurach, lepiej mi smakują niż

najlepszy obiad.

Po powrocie byłem jak w transie. Powiem taką śmieszna sprawę - tam, gdzie pracowałem była jak to zwykle portiernia. Ja szedłem sobie do pracy, tu obok idą znajomi (mówiono, że Dobrowolski jest nienormalny, ale to osobny temat), a ja sobie mierzyłem po płytach chodnikowych "iść nie iść-iść-nie iść". Jak płyta chodnikowa, która szła równoległe do portierni, wypadła na "nie iść", szedłem sobie prosto dalej i nie szedłem do pracy. Nie ma sprawy. Doszło to do uszu kierownika, do dyrektora... Nie wiem, nie mogłem się nasycić, że nikt za mną nie chodzi... Bez potrzeby, nie było potrzeby. Jeżdżenie - obojętne. "Dzisiaj sobie pojedę do Torunia". Że ja mogę z nikim tego nie uzgadniać, mogę, sam jestem gospodarzem swego dnia. Żadnej trudności, jakie by nie były kłopoty, na dworcu przesiadka na ławce i nie czułem się zmęczony. Trzeczka się na tym dworcu przespałem, poszedłem sobie na perony, bardzo to lubię, tych powieszonych, te wagony, można gdzieś pojechać... To mi sprawiało taką radość, że ja mogę sobie tak... i tak mi niewiele trzeba było. Naprawdę nie za wiele tych pieniążków było, człowiek nie myślał, żeby gdzieś w hotelu - aaa, kupię sobie bułkę, herbatę... Tak było ze trzy lata. I taka nerwowość - ktoś podszedł, słowo powiedział, ten wyskok do góry! Mówiono u mnie w pracy: podchodzisz do Dobrowolskiego, to spokojnie mów albo najpierw uprzedź, że podchodzisz, bo ci zęby wybije, jak podskoczy. Nie! - wręcz odwrotnie, nikt nie był wrogiem! Człowiek jakoś to tak przeżywał...

Później sprawa było słownictwo. Tam w żargonie obozowym słowa takie jak "ni w piźdu" człowiek wspaniale właczał. I tu nierzadko w rozmowie człowiek nie zważał sobie sprawy, siedział

za stołem i coś opowiadał... Trzeba było nad sobą panować.

Do trzech lat nie byłem sobą. Następna sprawa - jak ja wychodziłem na Piotrkowską, jak ja widziałem te sklepy (to był rok 1954, u nas było jeszcze względnie dobrze, nie było kartek) i na Narutowicza były sklepy prywatne. Najbardziej mnie rozśmieszało, że wisi jakaś kaczką oskubana, i ja mówię - myślałem kategoriami rosyjskimi jeszcze - przecież tu można całe życie nic nie robić, bo tu wszystko w zasięgu ręki jest! I jak miałem pieniądze, to zawsze coś kupowałem. Byłem uwrażliwiony - były te gęsi, przecież to 3 kilogramy! - to tak niedrogo mi się zdawało kupowałem... I przynosiłem te gęsi do domu. Rodzina mi nie zwracała na to uwagi, tylko jak znajomi byli, to jakoś przekładali to im, żeby wzięli. A mnie się zdawało, że to jest, a jutro już nie będzie. Na zapas, na zapas. Od czasu do czasu coś na mnie takiego przychodziło, nie mogłem spokojnie przejść, jak zobaczyłem na wystawie, musiałem iść i kupić. To nie było tanie, ale kupowałem. To trwało.

Musiałem jakąś pracę podjąć. Zapytałem, ile ja mogę zapracować. I jakimi ja kategoriami myślałem: czy ja mogę zapracować, żeby mi starczyło kupić pół kilo chleba dziennie. taki kosztorys robiłem: pół kilo chleba liczyłem 6.30, następnie litr oleju do tego - i tak się zastanawiałem: Boże, litr oleju, może to za dużo na miesiąc? Jak ja policzyłem, to pamiętam, wówczas pracując zarabiano się do tysiąca złotych. to chyba była duża pensja. jak ja sobie policzyłem to wszystko, na wyrost, to wyszło, że mi więcej jak połowa tych pieniędzy zostanie.

J.M.- Ja się długo wolnością nie cieszyłem, bo w grudniu, 11 grudnia poznałem tę delikwentkę...

M.D.- My tu mówimy o tych podstawowych rzeczach.

J.M.- Mnie najbardziej zaszokowały ceny. Ja jak poszedłem pracować, pamiętam, zarobiłem 630 złotych. Pracowałem w planowaniu. Tam było trzech planistów-techników, zawodowych, a ja ukończyłem gimnazjum, matury nie zrobiłem, dopiero w Warszawie na tajnych kompletach. Oni zarabiali po 1300 złotych, a ja miałem 630. I był dyrektor techniczny, Żyd to był, jak on się nazywał? Ja pracowałem w fabryce maszyn włókienniczych na Widzewie, teraz trochę inaczej się nazywa. A on był taki, że jego się wszyscy na warsztacie bali. A robili krosna Zaurera, przędzalnicze, i tam taka wysoka tolerancja w detalach, że co wziął, to spaskudził. Były kanały, jakie w halach są, to wrzucił tam, poszedł, wziął nowy kawałek... I ten dyrektor kiedyś odkrył to - wywieźli kilka aut... Wielka awantura się zrobiła, on zaczął wojować, ale ze mną /on wiedział, że ja po obozie/ - ja mogłem mu wszystko powiedzieć, on nic, nawet słowa nie powiedział. Bo czasami dochodziło do scysji... I on mówi: "Panie Mrozowski, ja podałem wniosek, żeby zmienili panu płace". I co się okazuje - zamiast podwyższyć, to oni mi o 35 złotych zmniejszyli. Idę do niego i mówię:

- Panie dyrektorze...

- Łobuzy... Pan nie wie, co to jest, kto tu macza ręce? Panu nie wolno więcej zarabiać! Ja się dowiem...

No i dowiedział się: tak, Urząd Bezpieczeństwa...

[...]

M.D.- Prędzej mi wyrośnie, aniżeli ty w Polszu popadiesz!

- A job twoju mać - po rosyjsku mówię.

Wybiegłem. do budki dochodzę, Dudzinka to jest kilka

domów, reszta baraki, jeszcze takie to jest zapuszczone... Teraz to już pewnie działa administracja, wtedy jeszcze... To był 1951 rok, chyba tak. No i ja taki trochę załamany, może i trochę przestraszony - ten wybuch był taki... nie mogłem opanować tych słów, po prostu nie mogłem opanować... To ze mnie tak wyskoczyło, nie powiedziałem tego, ja z siebie to wyrzuciłem!

Sekretarka do mnie dobiegła, trochę zadyszana:

- *Pajdiotie, pajdiotie...*

Idziemy z powrotem. Ja mówię:

- Słuchaj, żeby on mnie w łeb tą popielnicą zakatał?

- *Niet, niet, on sawierszienna drugoj! Obizatielno. obizatielno...*

Idę drugi raz, już poza kolejnością, ona mnie za rękę trzyma, sama zapukała, mnie przed sobą przepuściła i drzwi zamknęła i stoi. No i znowu:

- *Zdrastwujtie, grażdananin prokurov - bardzo ładnie, grzecznie. ja miałem to do siebie, że byłem bardzo szczupły na twarzy, zawsze Rosjanie mówili: "wyglądasz dziecinnie".* Stanałem.

- *Pażałsta, pażałsta...*

No to ja podszedłem, krzesło troszkę odsunąłem, on się uśmiechnął, podsunął paczkę papierosów. To był ten ichni wyższy sort, "Kazbeckie".

- *Zakuritie, pażałsta...*

- *Ja nie kuru.*

- *No zakuri, zakuri...*

- *Prastitie, ja nie kuriszczyj.*

No i on zupełnie z innej beczki, od czego on zaczyna:

- *Wy znajetie - już nie mówi "ty" - my w Warszawu balszozj*

kulturny dwariec stroimy.../ja nie miałem pojęcia o tym "kulturnym dwarcu", o tym straszyle/... my u was stroimy...

Zupełnie z innej beczki, jakiś grzeczny, spokojny był!

- *No - mówi - znajesz, to, szto ja znaju, to wy skoro w Polszu popadiotie.*

On w te sprawy zupełnie nie wnika, jak ja przyjechałem do tej Dudzinki. Może on sobie spojarzył, że ja już jestem całkowicie zwolniony, że skoro miałem możliwość dotarcia do niego...

No i tak się stało, że chyba dwa lata później opuściłem Norylsk.

J.M.- Marian, bo ty zostajesz... Najlepszego. Tę wódkę można pić szklankami... tylko żeby nie zgłupieć.

M.D.- Konwojenci - tam wysyłano z poboru chłopców... Jeden mi powiedział: "Wam się skończy wyrok, a my - nie wiemy". Pamiętam taki obrazek, jak prowadzą: u konwojenta wisi ta pepeszka na szyi...

J.M.- Tak jak na statku - oddali automat, a on sobie popijał, potem wielka radość bo podali przez radio, że wykończyli Bierię, wszyscy się radowali, a on jeszcze na to konto mówi: "Riebiata, no... trzeba coś...".

Ale jaki tam głód był... Nam na statku dawali po bochenku chleba, nie pamiętam: na dwa dni czy na ile? Myśmy ten chleb składali w kajucie, bo w kajucie było po dwa miejsca. Tego chleba nazbierało się kilka bochenków, a kupowaliśmy sobie pszenny, biały chleb, bo tam kantyna była, każdy miał parę złotych, a jak nie miał, to drugi mówi "masz"... Podjechaliśmy do miejscowości / od brzegu cumowali, żeby węgla nabrać /, w dali widać wioskę, opłotki, jakaś cerkiewka waląca się, kopuła przekrzywiona, a na opłotkach oparci stoją brodacze,

chłopi. W pewnym momencie odrywają się łódki od brzegu i chłopaki po 10, 12, 15 lat podpływają: "Riebiata, chlebka, dajcie chlebka...". Myśmy zaczęli chleb im rzucać do tych łódek, chyba cztery albo pięć było tych łódek, oni wyłapywali, niektóry bochenek do wody wpadł, złapali.

Myśmy byli na górnym pokładzie, a na dolnym pokładzie byli marynarze. I jeden z nich złapał - tam były katowniki i łańcuchy - odkręcił widocznie czy miał jedną taką śrubę, dużą, z muterką i rzucił: jednego chłopca trafił w piecy, ten chłopak wpadł do wody. Jeden z tych marynarzy rzucił, a to były młode chłopaki, po dwadzieścia parę lat. To okazało się - jakiś komsomolec rzucił, bo tamten kompromituje przecież naród! chłopak wpadł do wody, ale tamci podjechali łódką, jego na łódkę, on błady, krew ustami się rzuciła - do brzegu.

A Rumuni wie pan, jacy są - w trzymiga te katowniki rozkręcili, powyjmowali, na dolny pokład i dawaj tą załogę... Jak zaczęli tłuc... I: "który to?". Ci z załogi przestraszyli się, pokazali. Wzięli jego do nas na górny pokład, a tu już od brzegu odbiły dwie motorówki z milicją. Podjechali: "W czym die to?". Powiedzieli: tak i tak. No i go zabrali. Co tam z nim zrobili? Jego Rumuni tak stłukli, że go wynieśli: czy mu połamali nogi?...

M.D.- Rumuni, z którymi rozmawiałem w Połmie, to byli w większości oficerami rumuńskiej armii, którzy pod Stalingradem dostali się do niewoli.

O czym jeszcze chciałem powiedzieć: u nich tam były granice wewnętrzne. Przecież dostanie się od Krasnojarska do Norylska to było już nie do przejścia. Do jednego z panów - on często w mojej chacie był, on był wykładowcą na Akademii Wojskowej w Leningradzie, dostai 25

lat, ale później go zwolniono. był na wolnej stopie - żona chciała przyjechać i nie mogła tej granicy wewnętrznej pokonać. Pokonanie jej takie same trudności nastęczało, co pokonanie tej zewnętrznej granicy.

Kiedy wyjeżdżałem z Norylska, wziąłem dobrą wodę i poszedłem pożegnać się z panem Suchanowskim. A oni w Norylsku mieszkanka mieli takie ciupeczki! Bo jak najwięcej ludzi... Przecież tam bardzo drogie budownictwo było. Jak ja kiedyś komuś z budowlanych powiedziałem, że w Norylsku budowano przy 30-40 stopniowym mrozie: "Pan jest nienormalnym człowiekiem". To było strasznie kosztowne budownictwo!

Jestem u tego pana Suchanowskiego, popiliśmy sobie serdecznie, i co pożegnaliśmy się, pocałowaliśmy, to on: "Sadis!". Co jest? A on drugie drzwi otwiera, a całe jego mieszkanie było mniejsze chyba jak ten jeden pokój, drzwi otworzył, a tam córka jego spała i akurat gdzieś do połowy kocem czy kołdrą nakryta, a tu, jak ta młoda dziewczyna, /miała, chyba 17 lat/ - cały tyłek na wierzchu, różowy, apetyczny.

- *Smatri* - mówi - *kakaja żopa...*

Tacy byli też ludzie. Odpowiadało mu to, żebym został jego zięciem.

* * *

Tekst po inicjałach J.M. - autorstwa Jerzego Mrozowskiego

Tekst po inicjałach M.D. - autorstwa Mariana Dobrowolskiego

na stazi do wiecie nie pcha
sta polig francuzow
a hienmura Ostrowa
calis was unyly
Kantki pine daleko
Ladana

Adres dla oddawcy
Stefan Alwoski
Lodzi ul.
Szczepko 58 m. 19

W. W. W. W.
Ostrowa

na stazi do wiecie nie gda
stoi poliacz transportow
z Niemcami Ostronca.

caly nas umyly

skartki przy daleko przy ci
Kadana

Adres dla ocienicy

Stefan Piotrowski

Lodz, ul.

Baszno 58 m. 19

W. W. W. W.
Ostronca

КОМИТЕТ ФИЗКУЛЬТУРЫ
ПРИ КРУЖКЕ ХУД. САМОДЕАТЕЛЬ.
СБОРНОГО ПУНКТА

ВЫДАНА

за участие в баскетболь-
ной состязании на пер-
венство сборного пункта
состоявшегося 25. 10. 1953 г.

председатель комитета
/: Слюсарский /

Члены комитета
/: др. Савд. /
/: Гашиар. /



КОМИТЕТ ФИЗКУЛЬТУРЫ
ПРИ КРУЖКЕ ХУД. САМОДЕАТЕЛЬ.
СБОРНОГО ПУНКТА

ВЫДАНА

за участие в баскетболь-
ном состязании на пер-
венство сборного пункта
состоявшегося 25.10.1953 г.

председатель комитета
/: слюсарский /

члены комитета
/: др. Саву /
/: Гашипер /

N. B. II. 54 r.

Zauwaga P. Morozowa i
drogi Jurku

Od zony Aleksandra M. s. j. p. Jadwigi
dowiedziałem się że P. zna dobrze moją żonę
i że P. będzie u niej w gościach i wówczas
P. więcej napisze (kiedy ja piszę do Stora,
chyba P. już u niej była i napisała wytykto
do P. Jadwigi). Zestem Pani bardzo
wdzięczny i z wielkimi sercami wia-
domości o moich najbliższych.

W poprzednim liście do P. już pisałem
że ja otrzymałem P. pierwszy listy, które
miały być rekomo od mojej matki.
Na samo wspomnienie o tym, że ten od
którego P. tak mocno pragnęła choć
kilka słów - znak życia, jest razem z Panim
i serce i serce mogą nacięty się jego i idem
i mnie radości u niej na sercu, gdyż on
dzielił to co ja, tym samym jego radości
i jego najbliższych jest i więcej moją
radości.

Zona moja widocznie P. poznała po powrocie Jurka, który i zdaje mi się rozwiązał zagadkę naszych listów.

Drogi Jurku, ciekawy jestem jak Ty się omijasz, przez domowego sąsiada i gdzie się wędrujesz? Czy duchowe rany zaleczyły się już? Czy Ty byłeś u moich. Jeśli tak, to napisz mi wszystko bez ogródek, tylko fakty abyśmy list otrzymali. Drogi Jurku Ty również możesz napisać od siebie i o moich (najwcześnie tylko) prosto do Hukonai Petropolwa na adres gdzie on pracuje, a pracuje na starym miejscu. Od czasu trójtego wyjazdu nikt więcej nie wyjeżdżał, to było tylko usypiające dozą, jednak nadzieji jeszcze nie tracę, gdyż wierzmić mi nie bywa. Listy już do Aleksandra Mi. idą. Tu nikt od Ciebie żadnego listu nie otrzymał. Czy moi pisali do stolicy? Ja piszę u przedsiębiorcy jednego roku lecz bez odpowiedzi. Bardzo proszę przysłać mi list doręczyć mojej żonie. Do Włan drogą P. Kurowka i Tobie drogi Jurku serdeczne pozdrowienie Leon widocznie ukłony od Mitrofanowice, Kiry,

Aleksandra i stępnia zapomniał

Drogi Jurku

10. IV. 54 r.

Przy okazji pisać kilka słów.

Przez dłuższy czas okoliczności ja otrzymałem w lutym b.r. od twojej matki pierwszy list. Listy te jakoby miały być od mojej matki, tak twierdził Jacek M. a ja twierdziłem że nie, aż w końcu marca, kiedy otrzymałem następny list, wszystko wyjaśniło się. W lutym na pierwszy list odpowiedziałem twojej matce t.j. "nie przyznaję się jako moja matka", lecz wogóle to było mi strasznie żal, ona matka która ruka swojego syna (ja wówczas to że nie wiedziałem że ona twoja matka) jak dziesięć tysięcy innych matek które chciałyby wiedzieć nie więcej jak "czy ty żyjesz?" "czy ty żyjesz?" (syn - córka) I tak jak moja matka naprawdę jest tak bezskutecznie dobija się też stąd, ja twoją matką do pewnego stopnia uważałem jako swoją. Drogi Jurku, dla Ciebie koniecznie noc miłego i przedstawiam sobie. Try napiszę twojej matki i twoje, kiedy ona cię w końcu stycznia b.r. przywita i do swojego pełnego domu przyniesie z sobą przytulita.

Drogi Jurku, czy ty byś się nie napisał do moich? U nas wszystko po staremu.

Ja pracuję od czerwca ubiegłego roku znowu na tym samym miejscu. t.j. tam gdzie Huculan i Gęsi.

Przemysławowi i Mirosławowi pracującemu w starym
miasteczku. Filozof - elektryk, Krawiec i jemu podobny
gdzieś wyjechali. Mirosław w lutym strywnat od ciężkiej
przebiegu i obaj z j. on i Mitrof. powyższe Ci wrodzone
podrozwienia. Tu, zostali się, z nami i ja i Kryska
a Franek M. wyjechali jesienią z invalidami.
Wskazy od Lenka Kolusko i Antonia Kojdy i
drugich znających rodaków. Od czasu trójnego
wyjazdu nikt nie wyjeżdżał. Po trójnym wyjeździe
była tu parkudna pogoda i j. było gorąco i
dłuższy czas nie chodiliśmy do pracy. Nawet
grad padał. Drogi Jurku zajdi do moich
i pozdrow ich ode mnie. Podobny mi nadzieję, może
w tym roku? przyjadę. Rozmawiać będziecie mi
o tym z miim. Co oni o mnie, o nas myśleć?
Napisz mi wszystko. Czy Ty komin o nas ...
Czy moi zwracali się do kogoś? Drogi Jurku
napisz do sary i j. wszystko i by moi napisali
rozwini. Powiedz im że dzień i noc o nich myśle,
a jak rytm chyba sam wiesz. że celem i sensem
mojego życia są oni. Iż im najwrodzone
podrozwienia i j. mojej żonie, córce, synu, mojej
i żonie matkam, bratu i j. i drugim bliższym ¹⁹²⁴
Drogi Jurku napisz bezpośrednio do Hukosani
Gatpobura. Adres piśn na fabrykę. Tyłko nie
odkładaj a napisz od razu. Komin i ciekaw
odpowiedzi. Iż Ci i trójnej matce najwrodzone
podrozwienia. L. ¹⁹²⁴
Powiedz miim, że ja często piśn im, czy otrzymany moje
listy? Ja od nich dwa lata już nie miałam.

Mitrofanowicz i Mirosław rocznie pracując w starym
miasteczku. Filozof - elektryk, Krawiec i jemu podobny
gdzieś wyjechali. Mirosław w lutym strywnat od ciężkiej
przebiegu i obaj z j. on i Mitrof. powyższe Ci wrodzone
podrozwienia. Tu, zostali się, z nami i ja i Kryska
a Franek M. wyjechali jesienią z invalidami.
Wskazy od Lenka Kolusko i Antonia Kojdy i
drugich znających rodaków. Od czasu trójnego
wyjazdu nikt nie wyjeżdżał. Po trójnym wyjeździe
była tu parkudna pogoda i j. było gorąco i
dłuższy czas nie chodiliśmy do pracy. Nawet
grad padał. Drogi Jurku zajdi do moich
i pozdrow ich ode mnie. Podobny mi nadzieję, może
w tym roku? przyjadę. Rozmawiać będziecie mi
o tym z miim. Co oni o mnie, o nas myśleć?
Napisz mi wszystko. Czy Ty komin o nas ...
Czy moi zwracali się do kogoś? Drogi Jurku
napisz do sary i j. wszystko i by moi napisali
rozwini. Powiedz im że dzień i noc o nich myśle,
a jak rytm chyba sam wiesz. że celem i sensem
mojego życia są oni. Iż im najwrodzone
podrozwienia i j. mojej żonie, córce, synu, mojej
i żonie matkam, bratu i j. i drugim bliższym ¹⁹²⁴
Drogi Jurku napisz bezpośrednio do Hukosani
Gatpobura. Adres piśn na fabrykę. Tyłko nie
odkładaj a napisz od razu. Komin i ciekaw
odpowiedzi. Iż Ci i trójnej matce najwrodzone
podrozwienia. L. ¹⁹²⁴
Powiedz miim, że ja często piśn im, czy otrzymany moje
listy? Ja od nich dwa lata już nie miałam.

M. B. V. 54 r.

Zawoza P. Mrozowka i
drogi Jurku

Od zony Aleksandra M. s. j. p. Jadwigi
dowiedziałem się że P. zna dobrze moją zony
i że P. będzie u niej w gościach i wówczas
P. więcej napisze (kiedy ja piszę do Stora,
chyba P. już u niej była i napisała wyśtetko
do P. Jadwigi). Zertem Pani bardzo
wdzięczny i z niecierpliwością czekam wie-
domości o moich najbliższych.

W poprzednim liście do P. już pisałem
że ja otrzymałem P. pierwszy listy, które
miały być rekomo od mojej matki.
Na samo wspomnienie o tym, że ten od
którego P. tak mocno pragnęła choć
kilka słów - znak życia, jest razem z Panim
i sercy i serce mogą nacięty się jego i dem
i mnie radości niej na sercu, gdyż on
dzielit to co ja, tym samym jego radości
i jego najbliższych jest i więcej moją
radości.

Zona mojego widoznanie P. poznana po powrocie
Jurka, który i zdaje mi się rozwiązał zagadkę
naszych listów.

Drogi Jurku, ciekawy jestem jak ty się
owijasz, przez domowego napiecia i gdzie się
władzisz? Czy duchowe rzeczy zaleczyły
się już? Czy Ty byłeś u moich. Jeśli
tak, to napisz mi wszystko bez ogródek,
tylko fakty abyśmy list otrzymali. Drogi
Jurku Ty również możesz napisać od
siebie i o moich (najwcześnie tylko) prosto
do Hukonai Petropolwa na adres gdzie on
pracuje, a pracuje na starym miejscu.
Od czasu trójtego wyjazdu nikt więcej nie
wyjeżdżał, to było tylko usypiające dozą,
jednak nadzieji jeszcze nie tracę, gdyż
wierzę że nie będzie. Listy już do Aleksandra
Mi. żony. Tu nikt od ciebie żadnego listu
nie otrzymał. Czy moi pisali do
stolicy? Ja piszę w przedwzrostku jednego
roku bez odpowiedzi.
Bardzo proszę przysłać mi list doręczyć mojej
żonie. Do Han drogi P. Kurozaka i Tobie
drogi Jurku serdeczne pozdrowienia Leon
serdeczne ukłony od Mitrofanowicza, Kiry,

Aleksandra i żony i przyjaciół

Drogi Jurku

10. IV. 54 r.

Przy okazji piszę kilka słów.

Przez dłuższy czas okoliczności ja otrzymałem w lutym b.r. od twojej matki pierwszy list. Listy te jakoby miały być od mojej matki, tak twierdził Jacek M. a ja twierdziłem że nie, aż w końcu marca, kiedy otrzymałem następny list, wszystko wyjaśniło się. W lutym na pierwszy list odpowiedziałem twojej matce t.j. "nie przyznaję się jako moja matka", lecz wogóle to było mi strasznie żal, ona matka która ruka swojego syna (ja wówczas to że nie wiedziałem że ona twoja matka) jak dziesięć tysięcy innych matek które chciałyby wiedzieć nie więcej jak "czy ty? - czy ja? (syn - córka)?" Tak jak moja matka naprawdę tak bezskutecznie dobija się też stąd, ja twoją matką do pierwszego stopnia uważałem jako swoją. Drogi Jurku, dla Ciebie koniecznie noc miłego i przedstawiam sobie Trynbergu twojej matki i twoje, kiedy ona cię w końcu stycznia b.r. przywidzi i do swojego pełnego domu przagnętego zercem przytulita.

Drogi Jurku, czy Ty byś się nie napisał do matki? U nas wszystko po staremu.

Ja pracuję od czerwca ubiegłego roku znowu na tym samym miejscu. t.j. tam gdzie Huczarani G. etc.

Powiedz moim
rodzicom i
siostrze, że
nie ma już
żadnych
nowych
listów
od Ciebie
odpowiedzi
moim
listom
i
proszę
o
odpowiedź
na
moje
listy

Mitrofanowicz i Mira również pracują na starożytnych
misjach. Filozof - elektryk, Krawiec i jemu podobny
gdzieś wyjechali. Mira w lutym strywnat od Ciebie
postrachę i obaj s.j. on i Mitrof. powtórzy Ci najbardziej
podrozwienia. Tu, zostali się, z nami ja i Kryštof
a Franek M. wyjechał jesienią z invalidami.
Wskazy od Lenka Kolusko i Antonia Kejdy i
drugich znanych rodaków. Od czasu trójnego
wyjazdu nikt nie wyjeżdżał. Po trójnym wyjeździe
była tu parkudna pogoda s.j. było gorąco i
dłuższy czas nie chodziliśmy do pracy. Nawet
grad padał. Drogi Jurku zajdi do matki
i pozdrow ich ode mnie. Podtrzymaj nadzieję, może
w tym roku przyjadę. Rozmawiaj bednie miał
o tym z nimi. Co oni o mnie, o nas myślą?
Napisz mi wytkno. Czy Ty komis o nas ...
Czy moi zwracali się do kogoś? Drogi Jurku
napisz do Sany zony wytkno. i by moi napisali
rozwini. Powiedz im że dzień i noc o nich myślę,
a jak tytuś chyba sam wiesz. że celem i sensem
mojego życia są oni. Iż im najbardziej
podrozwienia s.j. mojej żonie, córce, synu, mojej
i zony matkam, bratu żonie i drugim bliżkim
Drogi Jurku napisz bezpośrednio do Hukosani
Batpobura. Adres piś na fabrykę. Tylko nie
od ktadoj a napisz od razu. Koniec i cześć
odpowiedzi. Iż Ci i trójnej matce najser-
deczniej podrozwienia. Len
Powiedz moim, że ja często piś im, czy otrzymany moje
listy? Ja od nich dwa lata już nie miałam.

na stacji dowiedzieć się gdzie
stoi polski transportowy
i kierownik Browna.
Czyż Was wysyła
Karlhejme przed
Bardina.

Adres dla oddawcy
Stefan Browawski
Łódź ul.
Besseno 58 m. 19

Witold
Owczarek

КОМИТЕТ ФИЗКУЛЬТУРЫ
ПРИ КРУЖКЕ ХУД. САМОДЕАТЕЛЬ.
СБОРНОГО ПУНКТА

ВЫДАНА

За участие в Баскетболь-
ном состязании на пер-
венство сборного пункта
состоявшегося 25.10.1953 г.

председатель комитета

/: слюсарский:/

Члены комитета

/: др. Саву:/

/: Гашипар:/

